CENA 20 ZŁ

W numerze: St. Sulima „Odkrywanie Ameryki“

Odra tygodnik

NUMER 14 (123) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 4 KWIETNIA 1948 ROK IV

Z wystawy plastyków w Szczecinie

Henryk Karniej: Łodzie

Guido Reck: Rysunek tuszem

EDMUND OSMAŃCZYK

Rodowód hitleryzmu

Waga zagadnienia poruszonego przez Edmunda Osmańczyka skłania nas do zaproszenia czytelników do wypowiedzi na temat poruszonych w poniższym artykule spraw na łamach „Odry“. Zapraszamy gorąco do dyskusji uczonych, pisarzy, polityków i ekonomistów. Wszechstronne oświetlenie nacjonalizmu niemieckiego, wytropienie prawdy pomoże nam do ustalenia naszego stosunku do Niemiec.

W historii narodów, sąsiadujących z sobą, rzadko zdarzają się długie okresy równowagi sił, pozwalające na coraz bardziej zbliżoną u obu narodów ocenę wspólnej przeszłości. Zazwyczaj sąsiedztwo układa się falami, przypominając huśtawkę, na której raz jeden, raz drugi naród wybija się w górę. Inne jest spojrzenie z góry, inne z dołu. Stąd rozbieżność ocen. Wspólne dzieje narodów polskiego i niemieckiego, szczególnie w ostatnim dwuwieczu, na skutek złamania równowagi sił, wytworzyły przepaść między ocenami historyków polskich i niemieckich.

Osądy historyków, spowszechniane przez prasę, literaturę i polityków, mają ogromne znaczenie wychowawcze dla każdego narodu. Często osady te , spłycone i wykoślawione, sprostaczone .do przysłowiowych skrótów myśli, zachwaszczają umysły pokoleń, zmieniając osąd historyczny na przesąd nacjonalistyczny. Trzeba dopiero wielkich dziejowych wstrząsów, aby narody odczuły przebrzmiałość dotychczasowych ocen i rozpoczęły rewizje swych poglądów na przeszłość, a tym samym i na przyszłość. Każdy naród bowiem stara się w swej przeszłości odnaleźć kierunek przyszłości. Z tego, co pochwala a co gani w stuleciami napęczniały nurt niemieckiego nacjonalizmu. Wiemy, że już raz próba socjalizacji Niemiec skończyła się katastrofą w Republice Weimarskiej. Odporność socjalistycznych i komunistycznych mas, a nawet przywódców, — czyniących dla pozyskania mas ustępstwa na rzecz nacjonalizmu (podtrzymywaniem choćby nacjonalistycznej legendy o „wersalskiej krzywdzie“) załamała się tragicznie, wobec hitlerowskiego **narodowego** prądu. Wystarczyło zagnać do obozów koncentracyjnych 200.000 socjalistów i komunistów, aby z 12 milionów głosujących na SPD i KPD w marcu 1933, przez lat trzynaście minionym okresie dziejów, rodzą się dążenia narodu, pragnącego podświadomie być i w przyszłości „wiernym sobie“.

Od oceny minionych dziejów zależy wychowanie narodu. Od wychowania narodu zależą stosunki tego narodu z jego sąsiadami. Tym wszystkim, którzy pierwszeństwo w kształtowaniu dziejów narodu przyznają formom ustrojowym, przyznałbym słuszność dwieście lat temu, lecz nie dzisiaj, kiedy spośród wszystkich idei upowszechnił się najbardziej i zagnieździł w umysłach najsilniej nacjonalizm, potrafiący zbyt często prężnością swoją wykoślawiać każdą formę ustrojową do roli swego narzędzia. Dam przykład najdrastyczniejszy — dzisiejsze Niemcy. Przyjmijmy na chwilę, że w roku 1947 komuniści opanowali całe Niemcy i narzucili narodowi niemieckiemu ustrój komunistyczny. — Rewolucyjnie twardy ustrój uzyskałby niewątpliwie natychmiast posłuszeństwo olbrzymiej większości narodu. Posłuszeństwo bowiem wobec zdecydowanego twardego ustroju leży w krwi Niemcom po prusku wychowanym w bezwzględnym posłuchu dla władzy państwowej. Treścią jednak wewnętrzną olbrzymiej większości Niemców pozostałby nacjonalizm, czyniąc z hitleryzmu nie zrodził się żaden rewolucyjny ruch, potrafiący choć w ostatnich dniach wojny dowieść światu, że istnieją w Niemczech masy ludowe, gotowe oddać życie za wolność. Okazało się, że za nacjonalizm — tak, za socjalizm — nie. Nacjonalizm wżarł się w umysły Niemców —powtórzmy — stuleciami. Socjalizm gotowi byli komunizmu nacjonal-komunizm, tyleż komunistyczny, ile socjalistycznym był ruch Hitlera. Prawdziwi komuniści sprawujący władzę byliby mniejszością, muszącą latami walczyć z nacjonalizmem swego narodu. O wyniku tej walki zadecydowałoby, jak głęboko potrafiliby sięgnąć do korzeni nacjonalizmu, poprzez rewizję historii narodu i — w jakim stopniu sami byliby odporni na szeroki Niemcy przyjąć, ale tylko jako narzędzie nacjonalizmu. Odrzucenie tego układu, próbą uczynienia z nacjonalizmu narzędzia socjalizmu było naiwnością karygodną. To jakby diabłu kazać służyć człowiekowi.

Nacjonalizm — to bezkrytyczne ubóstwianie tych okresów własnej przeszłości, kiedy dany naród, **obojętnie** jakimi środkami uzyskiwał przewagę nad innymi narodami; — to dążenie do pomnożenia, czy odzyskania dawnej **przemocy.** Źródłem nacjonalizmu jest wytworzenie z **naturalnej odrębności** narodowej, w oparciu o „złote karty“ historii, uczucia **nadnaturalnej wyższości** nad innymi narodami. Nacjonalizm jest wynaturzeniem człowieczeństwa przez pogardę do ludzi innej narodowości, rasy czy religii.

Bez zniszczenia nacjonalizmu, bez tego, aby naturalnej odrębności narodowej móc przywrócić naturalny szacunek człowieka do **każdego** człowieka, obojętnie jakiej będzie narodowości, rasy, religii czy stanu, nie może być mowy o odrodzeniu moralnym narodu i nie może być mowy o ożywieniu rzetelną **treścią** moralną jakichkolwiek **form** ustrojowych.

Jeśli chcemy ułożenia wreszcie trwałych stosunków niemiecko-polskich musimy zatem dążyć do ...zbliżenia **niemieckiego** osądu historii do stanowiska polskiego, aby poprzez rewizję pojęć niemieckich zniszczyć korzenie groźnego dla nas nacjonalizmu niemieckiego. Dążenie takie jest w nadchodzącym okresie dziejów nie tylko politycznie uzasadnione, lecz praktycznie wykonalne, pod warunkiem, że będziemy potrafili przedstawiać światu i Niemcom nasze stanowisko, tak jasne i ściśle naukowo określone, że krytyka niemiecka będzie zmuszona do uwzględniania i naszej oceny.

Był okres w naszym dziejopisarstwie, kiedy myśmy ciągle musieli zajmować stanowisko wobec niemieckich osądów historycznych, więcej, byliśmy nieraz zmuszeni do używania tej samej broni, której używał przeciwnik, a często była nią postawa nacjonalistyczna. Polskie ruchy polityczne o wyraźnym obliczu nacjonalistycznym wyrodziły się w dużej części niewątpliwie z krytyki nacjonalistycznej szkoły historyków niemieckich. Była w tym samoobrona, ale i samozatrucie. Dziś — ośmielam się raz jeszcze to twierdzić — wchodzimy w długi okres czasu, pozwalający nam na nie branie względu na dostatecznie już skompromitowane w swoim zakłamaniu osądy historyczne niemieckie; na wypracowanie własnych nowych ocen, odpowiadających ujawnionej już dostatecznie prawdzie historii Prus i Niemiec; na ogłaszanie prac tych w Niemczech i na całym świecie; a tym samym na zmuszenie nowych niemieckich dziejopisarzy do brania względu na osądy historyczne polskie.

Osądy historyków — powtórzmy raz jeszcze i to — spowszechniane przez prasę, literaturę i polityków, mają ogromne znaczenie wychowawcze dla każdego narodu. Udział nasz w wewnętrznym życiu narodu niemieckiego jest tą drogą niewątpliwie możliwy. O korzyściach i wartościach takiego udziału w walce z wynaturzonymi niemieckimi przesądami nacjonalistycznymi, mówić nie potrzebuję. Dodam tylko, że, bez przesady, uważam drobny fakt przetłumaczenia na niemiecki i wydania w Niemczech mądrej i pięknej polskiej opowieści o Tomaszu Mannie — „Ucieczka z Jasnej Polany“ Adolfa Rudnickiego — czy takichż ogólnoludzkich opowiadań o wojnie— „Ostatnia Europa“ Mirosława Żuławskiego, za bardziej istotne dla stworzenia warunków dobrego sąsiedztwa, niż tysiąc polskich protestów do Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec.

Z pracy wychowawczej rodzą się korzyści polityczne, gospodarcze i kulturalne. Siłą pracy wychowawczej nie jest jednak postawa polityczna, która jest rzeczą wtórną, lecz postawa moralna. Historycy, pisarze i politycy niemieccy od czasów Momsena aż po osławionego Pleyera „wodza“ historyków Trzeciej Rzeszy, przyjmowali w każdym pokoleniu coraz bardziej zaborczą postawę polityczną, odrzucając coraz wyraźniej jakiekolwiek wartościowanie moralne na rzecz użyteczności politycznej. Skutki takiego wychowania narodu znamy. Dla historyków, pisarzy i polityków polskich w nakreślonym tu szkicowo programie naszego udziału w ponownym wychowaniu Niemców, narzuca się tym samym obowiązek przyuczenia z powrotem Niemców do bezwzględnego wartościowania moralnego dziejów. Postawić przed użytecznością polityczną sprawdzian wartości moralnej, to znaczy wyrwać kły nacjonalizmowi, to znaczy nawrócić naród niemiecki na drogę ludzkości.

II.

Naród niemiecki jest oślepiony nacjonalizmem. Sam — świadczą o tym powojenne trzy lata — nie prędko dostrzeże rzeczywiste przyczyny swego kalectwa. Nie uzdrowi się jego politycznego stosunku do sąsiadów i świata, bez uzdrowienia wpierw moralnego. To zaś nie może nastąpić bez świadomości najgłębszych przyczyn zła. Skoro sam ich nie dojrzy trzeba mu je ukazać.

Największym złem dziejów niemieckich był hitleryzm. Pierwszą zatem rzeczą historyka, pisarza i polityka musi być ustalenie bezsprzeczne rodowodu hitleryzmu.

Jak ślepi są Niemcy w tym względzie, świadczyć może książka Otto Brauna „Von Weimar zu Hitler“ napisana w 1938 roku, wydana w tymże roku (wyd. II. — 1940) w „Europa-Verlag“ — New York. Otto Braun nie był byle kim. Był pierwszym premierem pruskim Weimarskiej Republiki i zajmował to stanowisko z kilkumiesięczną przerwą do roku 1932, a więc lat trzynaście, tyleż co później na pruskim premierostwie równie zarozumiały Hermann Goering. Otto Braun był jednym z przywódców socjaldemokracji, siedział w więzieniu za socjalizm przed I wojną światową, w listopadzie 1918 roku rewolucja wyniosła go na rządcę Prus.

Otóż ten Otto Braun, niemiecki socjaldemokrata zamyka na wstępie swej książki dwoma słowami

(Dokończenie na str. 2 i 3)

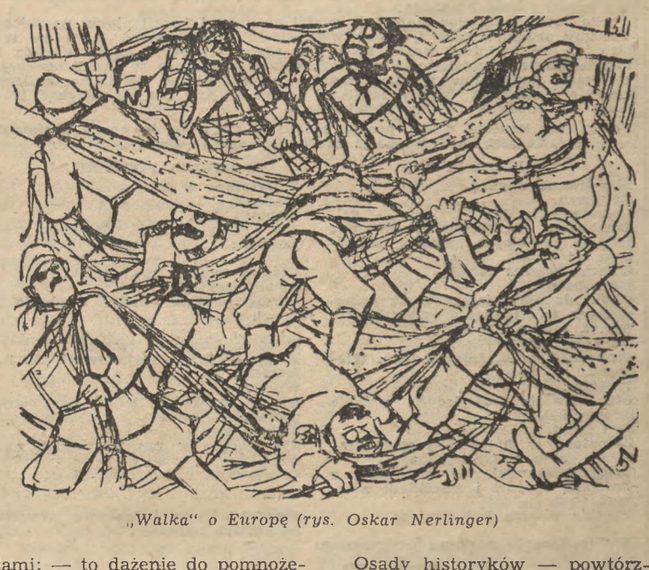

„Walka“ o Europę (rys. Oskar Nerlinger)

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

Martwa Natura Morza

Skórzany bukłak, z którego wycieka strugą
słona, siwa woda.
Trzy skwierczące łuczywa, rzucające płat światła
na nagi brzuch barbarzyńcy, przebitego oszczepem.
Muszla, którą trawi kremowy ogień.
Powoli zasnuwa się tło — płótno żaglowe.
A gdy uderzyć pięścią w obraz,
Szoruje fala pienista
i ze wszystkich stron niepowstrzymanie
wybucha — morze.

Ruiny Gdańska

Martwej, północnej wody ruiny, ruiny
obraz suto złocony, wierny, historyczny.
U stóp miasta kotwica, przelotna mewa krzyczy,
upust krwi, upust zwykłej, powszedniej, polnej Wisły.

Gdzie zejść ma obłok miękki jak ciżmo z atłasu,
jakie lochy przepłukać, aby czysto — dźwięknąć?
Pada wielki, gwiaździsty cień wygasłych czasów
na świetne imię ruin, na ich chmurne piękno.

Oddzwoniono w kościołach. Cisza brzęczy pusto,
o czym? Knecht gnie się, kuli w spalonej ulicy.
Ach, kneblować maszkarom rozdziawione usta.
Zdradzają! Mówią obco — i Polska ich słyszy.

MARIA ŻYWIRSKA

Kultura górnicza

Do grup zawodowych, które dzięki specyficznym warunkom pracy mogły wytworzyć im tylko właściwe normy kulturowe, należy niewątpliwie górnictwo. Kiedy na przełomie XIX wieku powstaje wraz z narodzinami wielkiego przemysłu kwestia robotnicza, górnictwo wnosi do reorganizującej się grupy zawodowej górniczej kilkowiekowy dorobek techniczny, tradycję gwareckich praw, przywilejów i kas brackich, cały zespół właściwych tylko górnictwu legend i przesądów, wreszcie odrębną dziedzinę życia duchowego, rozwiniętego na podłożu kultu swojej patronki — świętej Barbary. Ten ważki dla górnictwa polskiego okres przełomowy łączy się jeszcze z utratą naszej niepodległości politycznej.

Kształtowanie się więc warstwy robotniczej, polskiej, a z nią grupy górniczej odbywa się w warunkach zgoła odmiennych, niż u innych narodów Europy. Do zagadnienia walki o prawa i interesy klasy robotniczej dla robotnika polskiego przybywa jeszcze czynnik obcy robotnikowi francuskiemu, niemieckiemu — czynnik walki o zachowanie odrębności narodowej. Dzięki tym okolicznościom innymi zgoła torami pójdzie rozwój i kształtowanie się wartości kulturowych u całej warstwy robotniczej polskiej. Zagadnienie odrębności narodowej tak wyraźnie i stale podkreślane, zwłaszcza w zaborze pruskim, pociąga za sobą separowanie się robotników polskich od niemieckich; z drugiej strony łączy go i zbliża do innych grup społeczności polskiej. Ta jednak łączność kulturowa rozwijała się raczej na podłożu wspólnoty narodowej i religijnej, aniżeli zawodowej. Więcej jednakich treści w życiu miał górnik polski z hutnikiem polskim niż z górnikiem niemieckim.

Dużą pomocą w utrzymaniu tej spójni była zwartość terenów kopalnianych, skupionych przeważnie w południowo-zachodnim krańcu ziem polskich. Pomimo rozdarcia dzielnicowego i różnych założeń gospodarczych zaborców rzesze górnicze zdołały utrzymać łączność między sobą. Poszukujący lepszych warunków pracy górnik polski wędrując pomiędzy rosyjskim Zagłębiem, pruskim Śląskiem, austriackimi kopalniami leżącymi w pobliżu Krakowa snuł nici wspólnoty nie tylko zawodowej, ale i narodowej. We wspomnieniach starych górników pamiętających te czasy, nie ma miejsca na jakiekolwiek antagonizmy dzielnicowe. Potajemne przenoszenie polskich książek przez górników spod Sosnowca do kopalni Bytomia i czytanie ich swoim towarzyszom w czasie pracy — nie jest faktem odosobnionym. Toteż definitywnie, po ostatniej wojnie — dzięki przyłączeniu całego Śląska do Polski — scalenie polskich obszarów kopalnianych, dotychczas rozdartych zaborami, dokonało ostatecznego, lecz jedynie formalnego połączenia całego polskiego elementu górniczego.

Z chwilą odzyskania niepodległości upadła konieczność walki o nią. Upaństwowienie wszystkich kopalń, rozbudowa całej sieci instytucji dających górnikowi pełną opiekę prawną przekreśla także potrzebę walki o interesy każdej grupy zawodowej, a więc i górniczej. Stan górniczy, stojący dotychczas, jak gdyby na marginesie życia państwowego wstępuje do czynnej walki o naszą potęgę gospodarczą i wysuwa się na czoło innych grup zawodowych. Zmienia się zasadniczo jego położenie społeczne, a co za tym idzie, jego struktura wewnętrzna. Ciasne, zamknięte dotychczas w obrębie kopalni i rodziny bytowanie górnika zostaje wplecione w wielki krąg życia państwowego. Znaczenie jego jednostkowego nawet wysiłku jest tak żywo związane z życiem całego narodu, że nazwisko Pstrowskiego czy braci Bógdołów staje się w Polsce bardziej popularne, niż uczonych czy literatów.

Z drugiej znów strony skomplikowane i udoskonalone aparaty techniczne wyparły bezpowrotnie dawne — często przez samego górnika pomyślane — narzędzia pracy. Możemy więc śmiało powiedzieć, że pewien wyraźny o specjalnym ciężarze gatunkowym okres w życiu górnika, z chwilą dokonania się przemian politycznych, a przede wszystkim społecznych i technicznych, został zamknięty. Wytworzone w tamtych warunkach określone normy ich wewnętrznego oblicza kulturalnego utraciły swoją istotną żywotność. Cały, dotychczasowy dorobek kulturowy warstwy górniczej staje się już tylko drogim nam reliktem w skarbnicy pamiątek narodowych. Zachodzi pytanie, jakie zespoły kulturowe obejmiemy pojęciem kultury górniczej?

A więc składać się nań będą specyficzne treści wytworzone warunkami pracy podziemnej. Wydobywanie kruszców czy minerałów wymaga jemu tylko właściwych narzędzi pracy, ubioru, umiejętności budowania wnętrza kopalni, wreszcie jej zabezpieczenia. Te warunki pracy wymagają im tylko właściwych norm regulujących życie pomiędzy górnikami. Niebezpieczeństwo i ciągłe narażenie życia w kopalni, przy lekceważeniu tego czynnika przez dawnych właścicieli, pociąga za sobą konieczność zorganizowania we własnym zakresie ratownictwa, walki z chorobami kopalnianymi. I tu leżą początki powstania całego szeregu przesądów i wierzeń, które miały bronić górnika przed tymi niebezpieczeństwami przypisywanymi najczęściej siłom nadprzyrodowym w podziemiach. Nasyca je i pogłębia kult świętej Barbary, której opiece oddawał się codzien nie górnik schodzący do podziemia. Wreszcie obyczaje współżycia zespołowego nie tylko w kopalni, ale i na powierzchni, w życiu gromadzkim i rodzinnym dopełniają całości tego pojęcia. Kultura grupy górniczej, tak jak i każdej grupy zawodowej posiada niewątpliwie bardzo wąskie, a jednocześnie mało wyraźne — bardziej płynne granice, aniżeli kultura pewnej, określonej grupy etnicznej. Zazębia się bowiem i wiąże o wiele ściślej z kulturą innych grup zawodowych, poza tym wciąga ją w krąg swego życia pobliskie miasto całym zasobem wspólnych wiadomości, przyzwyczajeń i zainteresowań. Wreszcie wiele treści życia duchowego i społecznego czerpie ze środowiska, z którego sam wyrasta lub kobieta, z którą zakłada dom rodzinny.

Już wstępne badania w tym kierunku zarysowują zdecydowanie wielkie dysproporcje i różnice w zakresie i wyrazistości dziedziny materialnej, duchowej i społecznej.

Zasoby kultury materialnej, choć wyraźnie określone są niewielkie i mało zróżnicowane; dorobek kultury społecznej jest znów bogaty w treść i wyraża się wielką ilością wierzeń, legend, przesądów i opowiadań; wreszcie przejawy kultury społecznej mają najbardziej płynne granice i najczęściej zazębiają się z kulturą ludową i innych grup zawodowych.

W każdym bądź razie już teraz możemy powiedzieć, że zebrane materiały, dla uzyskania których najistotniejszym jest żyjące dotychczas, najstarsze pokolenie górnicze, odpowiednio uporządkowane, dadzą się złożyć na wyrazisty obraz całokształtu dawnych norm życia tej grupy społecznej.

Maria Żywirska

Gerhardt Hauptmann w r. 1933 pocieszał się, że Reichswehra uchroni Niemcy przed najgorszym

Szlakiem Drangu nach Osten (ze szkicownika wojennego Karla Eckle)

Czeski karykaturzysta patrzy na denazyfikację nacjonalistycznych Niemiec

Co robią Niemcy

Manifest poetycki grupy „Ulenspiegla" Nadler drży — Gdy komuś brak proporcji.

I W „Ulenspieglu", dwutygodniku berlińskim, poświęconym literaturze, sztuce i satyrze, często tak pomieszane są rzeczy i sprawy poważne z drwiną i satyrą, że niezorientowanemu w lokalnych stosunkach polityczno-kulturalnych Berlina trudno czasem jedno od drugiego odróżnić. Może wypływa to stąd, że, jak ktoś powiedział, na wszystko co niemieckie trzeba po wojnie patrzeć z drwiną, z satyrycznym uśmieszkiem, z krytyczną refleksją. „Ulenspiegel" od czasu do czasu zabiera głos w sprawach dotyczących programu powojennego niemieckiego życia kulturalnego, programu nowej niemieckiej literatury. Takim głosem jest ogłoszony w pierwszym lutowym numerze pisma „manifest" grupy poetów „Ulenspiegla" na temat poezji. Oto on:

Szukamy rzeczy nowej. Zmęczeni jesteśmy poezją pionu. Świat ubogi jest, natomiast w poezję poziomu, przeciwieństwo tamtej. Bądź co bądź Walt Whitman i Włodzimierz Majakowski stanęli po stronie poezji poziomu, którą w przeciwieństwie do tamtej poezji Robinsona, nazywaliśmy często poezją Sindbada.

Co rozumiemy pod pojęciem poezji poziomu i poezji pionu, naszkicowaliśmy schematycznie i, gwoli wyjaśnienia różnic, nieco ostro na tej stronie. Nie wątpimy wcale, że liryka pionu stworzyła dzieła wielkie i bogate (Rilke, Baudelaire, Yeast). Wierzymy jednak, że w chwili obecnej, w latach kontrastów powstać musi i spopularyzować się liryka, służąca głównie kontaktom między ludźmi i narodami. Aby ten cel osiągnąć, wołamy do młodych pisarzy niemieckich:

Pomyślcie! Rzućcie weszą poezję pionu! Zbliżcie się do poezji poziomu! To jest bowiem poezja kontaktów między ludźmi.

POEZJA PIONU	POEZJA POZIOMU
Skierowana w górę.	Skierowana w dal.
Robinson.	Sindbad.
Osamotnienie. Ja.	Kontakt. My.
Zamknięta. Ekskluzywna, dostępna jedynie poziomym kastom, odwrócona od świata.	Dla świata otwarta. Dla wielu zrozumiała.
Główna troska: forma.	Główna troska: nowe treści, Powiększanie.
Doskonalenie.	Forma otwarta, która wypłynie z nowych treści.
Obok nie odnawiających się pomęczonych treści wieczorny blask form (sonet, tercyna, hymny).	
Na szczytach antyku.	U korzeni naszego czasu.
Carossa. Loerke. Horst Lange. Wiechert.	Brecht, Lorca, Majakowski, E. L. Masters.
Wnętrze.	Wnętrze.
Dla niewielu, mówiących pięknie między sobą.	Dla wielu, mających do nas ostre pretensje.
Ja i świat.	Świat i my.
Zatopiona w Bogu albo arystokratyczna, albo melancholijna.	Nie tracąca w nas wszystkich nadziei.
Torty królewskie w obrazach, z śmietaną rymów i śnieżkiem wierszy.	Chleb.
Uczucia pisarza kultywująca.	Przedstawiająca jednakowe uczucia wszystkich narodów.

Dlatego poezja poziomu przypuszcza:

że będzie zrozumiała
dla wszystkich narodów,
że będzie przetłumaczalna,
że dlatego niewiele cenić sobie będzie rym,
główną przeszkodę przekładu,
że da się użyć
w którejkolwiek minucie.
dla któregokolwiek czytelnika
w którymkolwiek narodzie!

Manifest grupy poetów „Ulenspiegla", pomieszczony wśród drwin i satyr, traktować należy poważnie, poeci „Ulenspiegla" próbują pisać według wyrażonych w tym swoim programie zasad. Program nie przynosi żadnych odkryć formalnych czy treściowych, ale dla przyszłego rozwoju poezji niemieckiej może mieć pewne znaczenie, gdyż jest zerwaniem z tradycją wiersza, który aż po ostatnie czasy i u poetów nawet tak antyhitlerowskich i przepojonych miłością do wzorów nowoczesnych i postępowych jak Becher, był zapięty na ostatni guzik, o nieskalanej rytmice, o wyraźnych ostrych rymach.

Rys. H. Orlowski

2 O ile młodzi pisarze, zgrupowani m. in. także i wokół „Ulenspiegla", będą odtąd mieli coś do powiedzenia na temat przyszłości literatury niemieckiej, to prawa tego nie będzie już miał n. p. prof. Josef Nadler. Każdy z nas, interesujących się literaturą niemiecką, miał z pewnością w ręku cztery potężne tomiska jego „Historii literatury narodu niemieckiego", dzieła naprawdę benedyktyńskiego. Nadler pochodzi z Austrii, po wojnie oczywiście został poddanym austriackim. Niedawno pisma austriackie doniosły, że wkrótce wyjdzie z druku nowa książka Nadlera „Historia literatury Austrii". Z tej okazji „Oesterreichisches Tagebuch" opublikował rozmowę z prof. Nadlerem a nie chcąc fatygować profesora, rozmówca posłużył się gęsto cytatami z dzieł profesora jako odpowiedziami na stawiane mu pytania. Oto niektóre pytania i odpowiedzi:

Pytanie: Która siła polityczna będzie, zdaniem pana, w stanie wypełnić w dziedzinie kulturalno-politycznej te zadania, które wynikają z historii literatury niemieckiej spreparowanej według pana metody?

Prof. Nadler: Dzieło Führera zawiera... ważne i trwałe dobro duchowe narodu niemieckiego...

Pytanie: W czym widzi pan, panie profesorze, zapładnianie poezji niemieckiej przez narodowy socjalizm?

Prof. Nadler: Czyn Führera dodał poezji odwagi, wzbogacił ją o nową treść, zmusił ją do największej odpowiedzialności.

Pytanie: Może pan podać nam na to jakiś przykład?

Prof. Nadler: Adolf Hitler i Dietrich Eckhardt spotykają się i to jest wydarzenie o historycznym i symbolicznym znaczeniu.

Po wielu pytaniach i jasnych zdecydowanych odpowiedziach (Nadler „milczy" tylko w momencie, gdy pada pytanie, co rozumie on przez słowa „niezbędne środki" w odniesieniu do Żydów) — konkluzja: ...austriacką historię literatury napiszemy sobie sami!

3 Jeszcze raz wróćmy do Berlina. W pismach berlińskich coraz częściej pojawiają się wiadomości o literaturze polskiej. Widać, że są Niemcy, których literatura nasza interesuje coraz bardziej. Szlachetne te wysiłki, jeśli mają odnieść jakiś skutek i dokonać jakiejś zmiany poglądów niemieckich na kulturę polską, nie mogą się obejść bez naszej pomocy. Ryszarda Matuszewskiego w czasie jego krótkiego pobytu w Berlinie latem ubiegłego roku zmuszono do napisania informacyjnego artykułu o nowej literaturze polskiej i uczyniono słusznie. Artykuł ten ukazał się później w organie Kulturbundu „Sonntag" i choć był po części wyrazem osobistych poglądów autora na współczesną literaturę polską, dobrze spełnił swe zadanie informacyjne. Tymczasem w czołowym miesięczniku Berlina „Aufbau", (numer styczniowy) nie jaki Joachim Krüger-Riebow pisze na temat „Polska literatura w literaturze światowej" i z całego artykułu widać, że autor nie ma dość informacji, że nie uchwycił jeszcze należytych proporcji, że trzeba mu pomóc, dostarczyć książek, niech się uczy i pisze dalej z tym samym entuzjazmem. Oto bowiem jakie nazwiska zajmują go lub jakie wymienia w tym swoim szkicu, jeśli chodzi n. p. o okres poromantyczny: Sienkiewicz, Wyspiański, Kasprowicz, Reymont, Berent, Ignacy Dąbrowski, Gustaw Daniłowski, Feliks Brodkowski (?), Stanisław Brzozowski („polnischer Anatole France"), któremu przypisał autorstwo „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego", Andrzej Strug, Zofia Nałkowska, Tadeusz Rittner, wreszcie Hołuj, Dygat, Szmaglewska, Dobaczewska i Breza. Oto, według autora napisanego z dobrą wiarą szkicu, wkład literatury polskiej poromantycznej do skarbca literatury światowej. Nie chcę twierdzić, że szkic ten przyniesie więcej szkody niż milczenie na temat literatury polskiej, ale że zamąci w głowach Niemcom, interesującym się naszą literaturą, to pewne. W i n a l e ż y p o n a s z e j s t r o n i e. Należy bezwzględnie stworzyć serwis artykułów dla prasy niemieckiej zwłaszcza periodycznej, serwis obsługiwany przez dobrych naszych pisarzy i znawców przedmiotu, aby uniknąć amatorskich choć pełnych dobrej woli wyczynów, które nie są zdolne nawet do solidnej informacji.

WISZ

Chtórendy Janku pojadzies,
cy po zogózu, cy bez wieś?
Zielono drózko pojade,
do my nojnilsy na rade.
A cóz tam bedzie za rada,
kiedy nojnilso nie gada?

Piosenka o Janku i zielonej dróżce obiega Pomorze Mazowieckie w dwu regionalnych odmianach: warmińskiej i w „scypanej" (mazurzonej) gwarze mazurskiej. I po zagórzu i przez wieś, zielonymi topolowymi dróżkami, sadzonymi jarzębiną traktami puszczańskimi, asfaltowymi serpentynami „garbatych" Mazur, giętkimi jak skrawki papieru na wietrze, gąsienicami szyn — „pojadziem". Może przemówi, nie „nojnilsa", lecz najliczniejszy pośród ludności „autochtonicznej" — szary człowiek.

Przy drogach najłatwiej go spotkać. Tu podbija tory, ówdzie kładzie zerwane mostki, jeszcze gdzie indziej łata wyboje, albo przydrożne płoty. Od czasu do czasu w dzień targowy odwiedza najbliższe miasteczko, zwyczajnie wtedy, gdy na krótko wyprzęże od pługa — nie rzadko samego siebie. Widać go wszędzie przy mrówczej, nieefektowanej pracy, przy znojnym staraniu o chleb codzienny i aż dziw, jak cicho o tym, że tak bez rozgłosu i uznania przykłada ręki do odbudowy zniszczonej ojczyzny.

Gdy zagadnąć Mazura staropolskim: „Szczęść Boże", spojrzy zrazu bez wiary, jakby coś wspominając, otaksuje człowieką i zwolna odrzecze. Jeżeli nie zagubił rodzimego obyczaju, powitanie jego zabrzmi najmilszą muzyką dla polskiego ucha: „Daj Panie Boże dobry dzień". Po większej jednak części usłyszy się zdawkowe: „Dziankuje". Takie będzie też hasło mniej lub więcej okaleczałych na duszy tuziemców.

W obcowanu z nimi przykro uderzy smutek i apatia. W bezwładnym geście, w każdym znużonym słowie żywe będzie tylko przemożne pragnienie świętego spokoju. „Poniemczeńcy" mówią zazwyczaj lepiej po niemiecku, niż po polsku, nie myślą jednak ani po jednemu ani po drugiemu. Przygniatająca potęga niemieckiego otoczenia, przemoc, wywalczyła sobie kiedyś zwycięstwo nad nimi, złamała jakiś kurczowy opór życiowej aktywności i uczyniła swe ofiary kalekami: skruszyła w duszach ostrze odporności, które każda istota ludzka otrzymuje wraz z życiem, aby wobec presji zewnętrznego świata nie była bezbronna. Od tych najtrudniej dowiedzieć się czegokolwiek. Przy sennej wegetacji trzyma ich zwykle jakiś prymitywny sekciarski mistycyzm — pustynna roślina, nieraz napotykana jeszcze... na tropach Smętka. Ci nie będą mieli nigdy własnego zdania, nie potrzebują wybierać. Za nich i za siebie odpowiadać

Stefan Sulima

Odkrywanie

będą tacy, dla których sprawy ludzkie nie straciły kolorów życia. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności okażą się nimi jednostki bieglejsze w polszczyźnie i jeszcze dziwniejszym przypadkiem „Niemcy". Z początku nie przeczuje się nawet, że z tego paradoksu wykluje się w końcu sceptyczna pobłażliwość dla mazurskiej „niemieckości".

snych obaw, sieć, z której ucieka za barykadę wykrętów.

Jeśli spytać o to zjawisko nieuprzedzonych spośród napływowych, posłużą się poprawną konstrukcją myślową:

— W życiu „autochtonów" zawalił się jedyny znany porządek świata, w jakim czuli się czymś, umieli dochodzić praw i chronić egzystencji.

Rys. Janusz Łonicki

Rozmawiając z Mazurem wyczuwa się u niego wytężoną czujność. Tzw. autochton zarażony jest bakcylem nieufności w stosunku do wszystkich, którzy nie są „swoi". Pod tym względem stanowi odwrócone odbicie napływowego osadnika. Nie ufa miejscowemu społeczeństwu, ucieka od kontaktu z władzami, przeraża się swą nieznajomością stosunków, z niewiarą wkracza w gmatwaninę urzędowych formalności, w której i tak rzadko potrafi coś osiągnąć. Mazur czuje dokoła jakieś psychiczne osaczenie — pułapkę właAargumentacja napływowych wyjaśniałaby wszystko, gdyby szło tylko o rezerwę nieoswojonych z nieznanymi warunkami debiutantów, niepodobna jej uznać jednak za wystarczającą w zetknięciu z wyraźną i nieukrywaną izolacją.

Wielokrotnie zadaję sobie na drogach mazurskich pytanie, co powie kiedyś historia o powojennym zjawisku, które my współcześni nazwaliśmy pobłażliwie „szabrem" i czy znajdzie się analityk, który ustali pełną listę pochodnych i zasięg szkodliwości tego najstraszniejszego z dziedzictw okupacji.Bo tak na co dzień zbyt mało zdajemy sobie sprawę z jego doniosłości i niszczącej siły. Tutaj zaciążył przede wszystkim na psychice odzyskanych ludzi, bo ci padłszy ofiarą, zdecydowanie odwrócili się od niego i — niestety najszkodliwiej generalizując — odżegnali się od domniemanych jego źródeł.

Patrząc z perspektywy czasu na działalność uzdrawiającą różnych instytucji specjalnych, na oczyszczającą aparat bezpieczeństwa selekcję, przeprowadzaną przez wojewódzkie szkoły milicyjne w województwach pomorsko-mazowieckich, łatwiej ocenić potęgę destrukcji zasłoniętą trącącym groteską słowem „szaber". To przed nim, przed jego powracającą wizją, przed jego rozmaitością „autochton" w opłotki odrębności, bo ta pomaga mu się odciąć od fikcji: symplifikacji spostrzeżeń. Dlatego też wstręt do zwykłego rabusia, do nadużywającego władzy i prawa urzędnika przenosi... w przyszłość.

Trudno z pozycji przygodnego obserwatora ustalić, kto więcej zawinił przeciw dobremu imieniowi polskiemu, przeciw odrodzonemu państwu: prywatny, czy „urzędowy", jak się dziś mówi, sektor. Który z dwu rodzajów szkodników społecznych, z których jeden odwrócił się za parawan rzekomych praw „zwyciężcy", drugi za autorytet państwa? Wiadomo tylko jedno, że obydwaj uderzyli w same podstawy zaufania do społecznej władzy, *odbierając miejscowemu człowiekowi główny smak życia, jaki dlań stanowiła własność, moment pewnego i bezpiecznego posiadania dorobku życia*, wszędzie pod każdą szerokością i długością geograficzną stanowiący mniejszą lub większą dźwignię materialnego i moralnego rozwoju jednostek. Cały tragizm polegał tu jednak na podwójnej krzywdzie. Moment bezpiecznego posiadania w rozpaczliwie trudnych warunkach przyrodzonych i politycznych, jakie były udziałem polskiej ludności w tym kraju, urastał do roli głównego motoru działania dla pozbawionych wszelkich dobrodziejstw samodzielnego bytu wydziedziczonych. Po ziemię, po własność przyszli na północ przodkowie

Rodowód hitleryzmu

(Dokończenie ze str. 1)

rodowód hitleryzmu: **Wersal i Moskwa.** („wie konnte es in Deutschland nur zu der Hitler-Diktatur kommen? Ich kann immer nur antworten: Versailles und Moskau". Str. 5)

Moskiewską część rodowodu hitleryzmu uzasadnia Braun następująco: „Wiosną 1919 roku na Pomorzu powstał klub reakcyjnych junkrów pod nazwą „Pommern Club", który dla tłumienia strajków robotników rolnych stworzył bojówki nacjonalistyczne, t. zwany „Landbund", zbrojone potajemnie przez oddziały Reichswehry. „Zawołaniem bojówek — pisze Braun — było: „ochrona przed bolszewizmem". W niemałym też stopniu przyczynił się „Landbund" do rozszerzenia nieszczęsnego hasła z Pomorza na całe Niemcy, więcej, na cały świat. Reakcjoniści wszelkiego rodzaju wprządnęli hasło to do swej antydemokratycznej i nacjonalistycznej polityki i używają do dziś dnia. To nieuczciwe hasło, na które tak łatwo dały się nabrać koła mieszczańskie, dopomogło dyktatorom w dojściu do władzy i w utrzymaniu się przy władzy i jest przez nich zręcznie wykorzystywane dla osłony polityki wojennej i zaborczej." (str. 54).

O wersalskim rodowodzie hitleryzmu mówi Braun wielokrotnie, stanowisko swoje podkreślając stałym w książce nazywaniem traktatu wersalskiego „Der Versailler Diktat". Pozwolę sobie przytoczyć dwie najbardziej charakterystyczne wypowiedzi:

„Przewodniczący Niezależnych Socjaldemokratów (komunizująca lewica socjalistyczna — przyp. mój) Haas złożył w Weimarskim Zgromadzeniu Narodowym 12 maja 1919 roku następujące oświadczenie: „Rewolucja światowa kroczy naprzód, unieważni ona i ten traktat pokojowy". Rzeczywiście w maju 1919 roku — pisze Braun — w Wersalu podcięto korzenie Republiki Weimarskiej i obsiano ziarnem nowego nacjonalizmu ziemię niemiecką. Ziarno to wzeszło. Nacjonalizm, podsycany wynikającymi z wersalskiego dyktatu cierpieniami, doprowadził do załamania się Republiki Weimarskiej". (str. 62)

Braun sam sprzeciwił się imieniem socjaldemokracji pruskiej podpisaniu traktatu wersalskiego. Opowiadając o dalszych cierpieniach narodu niemieckiego po I wojnie światowej, Braun pisze:

„Doszło do tego rozstrzygnięcia Wysokiej Komisji Alianckiej o podziale Górnego Śląska (20 października 1921 roku), **odczute przez wszystkich Niemców jako oburzająca niesprawiedliwość** (podkr. tłum.), ponieważ po pierwsze, w plebiscycie z 20 marca 707.122 głosów padło za Niemcami a tylko 433.514 za Polską, po drugie zaś, podziałem tym oderwana została Rzeszy najbogatsza przemysłowo i surowcowo część Niemiec, a tym samym gospodarcza siła Rzeszy — nie wystarczająca już i tak na pokrycie szaleńczych ciężarów reparacyjnych — została niebywale osłabiona. Doszły do tego krwawe powstania wywołane — za cichą zgodą francuskich władz plebiscytowych — przez Polaków, którzy pod wodzą byłego niemieckiego posła Reichstagu Korfantego, próbowali osiągnąć swoje daleko zakreślone cele. Rządy Pruski i Rzeszy (na czele których stali wówczas „socjaldemokrata" Braun i „demokrata" centrowiec Wirth — przyp. mój), nie mając prawa do wysłania na teren plebiscytowy policji i wojska, zmuszone były dać swobodę działania „ochotniczym oddziałom" (Freikorps), znanym antyrepublikańskim bojówkom, pałającym chęcią tego rodzaju walki. Ci młodzi ludzie, z których wielu z pobudek ideowych i z narodowego zapału w walce przeciw Polakom oddało swe życie dla Niemiec (aus idealen Beweggruenden und mit nationaler Begeisterung im Kampfe gegen die Polen ihr Leben fuer Deutschland in die Schanze geschlagen hatten), odczuli jako czarną niewdzięczność rozwiązanie ich oddziałów, które później musiał przeprowadzić rząd pruski. Uczucie to wzmagali w nich polityczni szkodnicy (Drahtzieher), a to w sumie zatruwało jeszcze bardziej polityczną atmosferę, która dość już była naprężona." (str. 117).

Te dwa wyjątki z książki socjaldemokraty Brauna (zakazanej z innych przyczyn w Niemczech hitlerowskich) wystarczą chyba na dowód ślepoty Niemców w ustalaniu rodowodu hitleryzmu. „Moskwa i Wersal" i na dobitek „były niemiecki poseł Reichstagu Korfanty", który z Polakami robi powstanie na „oburzająco niesprawiedliwie" podzielonym przez Wysoką Komisję Aliancką, Górnym Śląsku i zmusza demokratyczny rząd pruski do skorzystania z pomocy „antyrepublikańskich bojówek (późniejsza SA i SS) — oto przyczyny hitleryzmu w oczach Niemca, nie-hitlerowca. Tak samo ujętym rodowodem szczycili się hitlerowcy. W tym naświetleniu przyczyna hitleryzmu leży **poza** Niemcami.

Uznać ten rodowód to znaczy uznać, że stosunek **świata** do Niemiec był przyczyną hitleryzmu, a nie stosunek **narodu niemieckiego** do świata, to znaczy przyjąć kłamstwo Hitlera o prawie narodu niemieckiego do dochodzenia swej sprawiedliwości drogą zaborów i wojny w „krzywdzącym" Niemców świecie.

III.

Hitleryzm jest rozpęczniałym nienawiścią do narodów słowiańskich nacjonalizmem niemieckim. Rodowodu hitleryzmu należy szukać w dziejach stosunku Niemiec do słowiańskich sąsiadów.

Drzewo hitleryzmu rosło w narodzie niemieckim przez tysiąclecie. Wersalsko-moskiewsko-śląskie „przyczyny" hitleryzmu były — użyję przenośni — sztucznym nawozem, świadomie produkowanym w IG-Farben dla wzmocnienia nacjonalizmu niemieckiego, który po przegranej wojnie i ucieczce Wilhelma II mógł być zniszczony przez rewolucję socjalistyczną, gdyby — demokraci niemieccy nie byli przeżarci jak i cały naród przez (co najmniej) pogardę a często i nienawiść do słowiańskich sąsiadów Niemiec.

Parcie na wschód, rozpoczęte przez Gerona wymordowaniem Słowian Połabskich, było początkiem hitleryzmu. Odmienność słowiańskiej kultury stała się powodem do wyhodowania uczucia wyższości kultury niemieckiej nad słowiańską. Coś co jest odrębne od czegokolwiek niemieckiego jest złe, jest mniej warte. — Ta prostacka zasada, w oparciu o przewagę technicznego rozwoju Europy Zachodniej nad Europą Wschodnią, w ciągu wieków stała się kanonem w podświadomości narodu niemieckiego.

Bieg dziejów powodował, że na zachód i północ od Niemiec powstawały bogate i silne państwa: Francja, Wielka Brytania, Skandynawia. Rozszerzenie swego „obrzyści terytorialne były zawsze **ograniczone.** Zaborczość niemiecka kierowała się zatem na wschód, który w zastępstwie nieosiągalnych kolonii zamorskich, miał być „skolonizowany" przez Niemców. Porozumienie Niemiec z Anglią, Francją czy Włochami było zawsze możliwe, łatwe do przeprowadzenia wczoraj i dziś, ponieważ zasadnicze egoistyczne postawy psychiczne tych narodów były do siebie podobne i ułatwiały poszanowanie cudzego egoizmu narodowego, nie mogącego, jak wykazała historia, podważyć terytorialnej egzystencji zainteresowanych państw. Jeśli doszło do wojen, to były one zawsze spowodowane głupotą i zarozumiałością polityków niemieckich, uderzających głową o mur, jak Wilhelm II czy Hitler.

Inaczej układały się stosunki Niemiec z sąsiadami słowiańskimi. Słabość ustrojów słowiańskich,

Ponure drzeworyty komunistki niemieckiej Käthe Kollwitz przypominały rok 1919. Cóż jednak Niemcom pozostało z tych lat?

szaru życiowego", dla narodu wychowywanego w zaborczości, w egoiźmie narodowym, w pogardzie dla innoplemieńców, było możliwe tylko na wschodzie i częściowo na południu.

Rodzący się w drugiej połowie XIX wieku nacjonalizm polski zauważył słusznie, że **trwałość terytorialna** państw Europy Zachodniej i Północnej wynikła z podobnego do niemieckiego wychowywania narodów danych państw w brutalnym egoiźmie narodowym, w pogardzie dla innoplemieńców i w zaborczości, która u Hiszpanów, Portugalczyków, Francuzów, Anglików znalazła ujście w zdobywaniu zamorskich kolonii. Nie tylko Niemcy uważali się za „naród panów". Poczucie to mieli i mają Hiszpanie, Anglicy a nawet Francuzi, do dziś dnia nie znoszący cudzoziemców, nie mówiąc już o rosnącym w tempie amerykańskim supernacjonaliźmie Amerykan. Niemcy uderzając na zachód czy północ natrafiali na przeciwnika równie twardego i bezwzględnego jak oni. Był to więc wysiłek szaleńczy, a kodmienna postawa psychiczna tych narodów, często w swym szlachetnym zaufaniu do ludzi graniczącą z naiwnością, pozwalała na podważanie a nawet niszczenie terytorialnej egzystencji tych narodów. Zygmunt Balicki, twórca polskiego nacjonalizmu w książce o „Egoizmie narodowym" zbyt późno chciał przeszczepić egoizm zachodnio-europejski na grunt polski. Obszar państwowy Rzeczypospolitej nie istniał już, podważany i przesuwany wielokrotnie pod naciskiem Niemców coraz bardziej na wschód. Ideologia egoizmu narodowego mogła podtrzymać tylko zarozumiałość biedniejącej w niewoli szlachty polskiej wobec żyjących na dawnych obszarach Rzeczypospolitej ludności innoplemiennej. Korzyści politycznych wyciągnąć z tego było niesposób. „Pańskość" ludzi **bez państwa** była obciążeniem narodu, który posiadał daleko wartościowszą broń — godność narodową pojętą jako godność człowieczą. (Przeczytać proszę mądrze i pięknie to ujmujący artykuł Pawła Jasienicy „Gest Kucharki" w Tygodniku Powszechnym z 29 lutego 1948.)

Uświadomienie sobie różnicy w postawie psychicznej, dzielącej nas nie tylko od Niemiec, różnicy daremnie zacieranej przez nie mający warunków obiektywnych nacjonalizm polski, jest ważne dla zrozumienia politycznej międzynarodowej historii Polski w ostatnim dwuchsetleciu.

Ustalmy zatem po pierwsze, że **nacjonalizm niemiecki zagrażał egzystencji terytorialnej tylko narodów słowiańskich,** a po drugie, że w stosunku do narodów zachodnio - europejskich nacjonalizm niemiecki zagrażał tylko **rozwojowi potęgi** tych narodów. Pomiędzy zagrożeniem rozwoju potęgi a zagrożeźniem istnienia w ogóle, jako naród, jest tak olbrzymia różnica, że tłumaczy ona nam całkowicie postępowanie mocarstw zachodnich w stosunku do Niemiec i rozgoryczenie tym postępowaniem narodów słowiańskich.

Dla mocarstw zachodnich nacjonalizm niemiecki był tylko wtedy groźny, gdy zwracał się przeciwko nim.

Dla narodów słowiańskich nacjonalizm niemiecki był zawsze groźny, obojętnie czy zwracał się przeciwko nim, czy Francji, czy Danii, czy Anglii.

Bez tych dwu prawd historycznych nie byłoby możliwe ani francuskie hasło„ nie będziemy umierać za Gdańsk" ani „Monachium". I nie byłaby możliwą tradycja gotowości Polaków umierania za Francję.

Skoro to wiemy, to możemy z pewnością powiedzieć, że nacjonalizmu niemieckiego nie wyrwą z korzeniami okupanci zachodni Niemiec, ponieważ **nie widzą potrzeby** uczynienia czegoś więcej poza zabezpieczeniem **siebie** od nacjonalizmu niemieckiego.

To co jest **antyzachodnie** w nacjonaliźmie niemieckim po doświadczeniach **dwu** wojen przegranych przez Niemcy z łatwością da się usunąć z umysłów Niemców, — rozumują słusznie okupanci zachodni. — Tym bardziej że porozumienie się Niemiec z Zachodem daje Niemcom konkretne korzyści gospodarcze i co najważniejsze nie narusza (a często nawet podtrzymuje) to co jest **antywschodnie** w nacjonaliźmie niemieckim a co jest **głównym** nurtem hitleryzmu.

Wiedząc z kolei i to, możemy z całą pewnością powiedzieć, że ani naród niemiecki, ani mocarstwa zachodnie nie ujawniają pełnego rodowodu hitleryzmu i tym samym nie przeprowadzą walki ostatecznej ze wszelkimi groźnymi dla pokoju przejawami hitleryzmu, wrosłego w mózgi niemieckie tak silnie, że można mówić o powszechnym w Niemczech „urazie antywschodnim". Ujawnienie pełnego rodowodu hitleryzmu i przeprowadzenie z nim walki ostatecznej pozostaje zatem zadaniem historyków, pisarzy i polityków słowiańskich, spośród których Polacy — wydaje się — mogą i powinni wiele powiedzieć i uczynić w tej sprawie.

Moralny upadek narodu niemieckiego ma swe źródło w milczącym przyznawaniu sobie, od czasów Gerona, prawa do nieludzkiego stosunku do sąsiadujących z Niemcami Słowian. Dla Niemiec „Wschód" był dzikim krajem niczyim, oczekującym „Kulturtraegerów". Nieludzki stosunek do Żydów był zjawiskiem wtórnym. Mylił się Henryk Mann, gdy pisał w czasie wojny, że hitlerowcy mordując Żydów w Polsce i zwożąc Żydów ze wszystkim okupowanych krajów w transportach z napisem „Nach Osten", **uczynili** ze słowa „Wschód" pojęcie jakiegoś „czarnego lądu", gdzie żyją ludożercy. To nie hitlerowcy dopiero uczynili ze „Wschodu" pojęcie „czarnego lądu". Oni zastali już w narodzie niemieckim to pojęcie, zezwalające nawet nie gestapowcowi, a zwykłemu żołnierzowi niemieckiemu na czynienie tam „im Osten" wszystkiego co zbójecka wyobraźnia zamarzyć po trafi.

A Europa — co? Protestowała

Jak głęboko ta pogarda bezlitosna i nieludzka tkwi w narodzie niemieckim zaświadczyć może artykuł, ogłoszony w prawicowym miesięczniku sektoru brytyjskiego Berlina, „Deutsche Rundschau" Nr 2, luty 48. Autor artykułu Hans Guenter Bressler broni tam Niemców (wysiedlonych z Polski i Czechosłowacji) przed nieludzkim traktowaniem ich przez... Niemców (osiadłych między Odrą i Renem):

„Widzmy dwa główne powody odpychania byłych wysiedleńców, obecnie nowych obywateli naszych miast i wsi: — pierwszy powód to samolubstwo i zakamieniałość serca wobec „obcych przybyszy", z których chce się zrobić aktorów przyszłego rewizjonizmu: drugi powód to podświadome uprzedzenia, swoisty rasizm, który nakazuje odnosić się z pogardą do własnych rodaków, przybyłych ze wschodu, właśnie dlatego, że są „wschodni".

„W ogóle wschodni... Już samo słowo podsuwa tanie skojarzenia z i tak dość krytycznie ocenianym wschodem, (obszarem) wschodnich ludów pogardzanych w niewymierny wprost sposób. „Tysiącletnie" nauki nie przeszły bez śladu. Wschodni uciekinierzy — wschodni ludzie — małowartościowe tałatajstwo... jakżeż łatwo rodzą się tego rodzaju myśli."

Powtórzmy z oryginału, trudną do oddania w tłumaczeniu drugą część cytatu:

„Ueberhaupt ostisch... Schon das Wort bietet billige Assoziationen zum ohnehin scheel angesehen Osten, den in unermesslicher Hybris verachteten oestlichen Voelkern. Diese Tausendjaehrigen Lehren sind nicht spurlos vorue-

Ameryki

dzisiejszego tuziemca. W ziemię zdobytą i uprawioną bezprzykładną pracowitością wkorzenili się, jak tylko człowiek jej głodny to potrafi. Wiedzieli Hohenzollernowie, co czynili, gdy dążąc do złamania przedsiębiorczości chłopa polskiego, uderzali w podstawy jego posiadania. Znał polski głód ziemi niemiecki ustawodawca, gdy nadmierne pieniactwo, miernik zacietrzewienia na punkcie ziemi, ograniczał przez instytucję sądów polubownych. Wiedział wreszcie hitleryzm, jak zażyć upartego separatystę: jedną ręką ukazywał mu nadanie własnego domu z „grundsztykiem", drugą podsuwał deklarację NSDAP. Nie wiedział tylko polski szkodnik społeczny, odpadek zdrowego narodu, co czynił burząc wśród miejscowej polskości wiarę w pewność posiadania w Polsce.

Nie widzę dość ciężkiej kary na burzycieli tej pewności, rozmawiając z Mazurem spod Ełku, który naprawia pedantycznie płot dla osadnika i tylko z wyznania miejscowego komendanta milicji, że „po szkole zostało nas trzech z sześcioosobowej załogi posterunku, inni nie byli godni, żeby tu wrócić" — *czerpię ufność, że jednak ktoś na wysokich szczeblach państwowej drabiny nie zawahał się odważnie wkroczyć na arcytrudną, ale jedyną drogę.*

Tragiczna jest opowieść tego człowieka o straconych złudzeniach. Nad małym jeziorem o kilka kilometrów od miejsca, gdzie przystanęliśmy przed zrujnowanym płotem, jeszcze rok temu siedział „na swoim". Z mgłą w oczach, przez zaciśnięte usta mówi o dalekim minionym szczęściu. Wojna zabrała mu cały żywy inwentarz, a jego samego wygnała na zachód. Jakże łaskawy wydał mu się los, który oszczędził maszyny rolnicze, ukryte w szopie.

— Bogu dzięki, pomyślałem, jest z czym zaczynać — wspomina gorzko po latach. — Wziąłem „deklarację mazurską", oddałem „na gminie" i czekałem na obiecanego konia z UNRRY, aby się wziąć do roboty.

Rok prawie żył złudzeniem, że ominęły go przejścia sąsiadów. Ale złe oko szkodnika zdążyło prędzej dostrzec łup, niż koń z UNRRY trafił do przygotowanej stajni. Pewnego dnia jakiś samozwaniec stanął w obejściu Mazura i orzekł, że maszyny są chłopu niepotrzebne, skoro nie ma konia. „Zarekwirował" je, nie zostawiając nawet świstka. Czy zarekwirował?

— Wtedy nie wiedziałem, panie, komu się skarżyć i gdzie szukać sprawiedliwości. Pomyślałem tylko, że skoro maszyny są mi niepotrzebne, to moje życie jest też

Rys. Janusz Łonicki

niepotrzebne. A skoro życie, to i deklaracja mazurska. Zwróciłem ją gminie. To było rok temu...

— Co mi pan teraz radzi? Co mam z sobą począć? Już rok wałęsam się bez celu. Dom wziął kto inny. Gospodarzowi zbiory nie obrodziły...

Doradziłem spróbować od nowa. Wziąć z powrotem „deklarację", postarać się o pomoc rządową i próbować stanąć na nogi.

— Tak, panie, ale to trzy lata ciężkiej pracy i odejmowania sobie od ust. Ja to już nieraz rozważyłem. Koń „urzędowy" kosztuje 61.000 zł. Trzeba go spłacić w trzech rocznych ratach. Do tego dochodzą wydatki na krowę, remonty budynków i narzędzia. Ale o jednym nie mogę nawet myśleć... Jakby tak ktoś znowu po tych trzech latach przyszedł i powiedział...

W drodze od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka można na Pomorzu Mazowieckim sądzić, że zajadła pomsta ściga tu każdy zły czyn i odwraca się przeciw każdemu, kto z winowajcą ma najluźniejszy nawet związek. Lotem błyskawicy roznosi się wieść o krzywdzie wśród tuziemców i w sąsiedzkich rozmowach, wśród zgorszonego kiwania głowami, rośnie nieprzenikniony mur, mur tuziemczej niechęci, o który nieświadomy tajemnic miejscowych wędrowiec łatwo może rozbić głowę. *Jeśli nie poszuka dokoła przyczyny, daremnie będzie się dorozumiewał, co się stać mogło.*

W Pieckach w ciągu kwadransowego postoju autobusu natrafiamy na tajemniczą antypatię maluczkich. Nie sposób dogadać się z nimi po polsku — istnieją pod tym względem może jakieś dalsze przyczyny — to nie najważniejsze. Gorzej, że dzieci, gdy je wypytujemy o postępy w nauce, najulubieńszy dziecinny temat, twierdzą z uporem:

— Tu nie ma żadnej szkoły!

O tym, że mówią nieprawdę, informuje z oburzeniem i złością — jak się przedstawia — młoda „zabużanka".

— Nie tylko jest szkoła, ale prócz niej istnieje także półkolonia wakacyjna.

Zwykłą koleją rzeczy wymowność „zabużanki" zmierza do ustalenia, że nie ma najmniejszego powodu do bojkotu szkoły, że stosunek napływowych do miejscowych nie jest inny, niż ma być w stosunku do Niemców.

Auto unosi nas zdezorientowanych i zachwianych w sympatiach dla Mazurów. Sprawa Piecek ma nieprzyjemny posmak. Do czasu. W kilka dni później wyjaśnia się sama. Jadąc furmanką ku Ukcie, w promieniu kilkunastu kilometrów od pewnej uroczej puszczańskiej miejscowości, stwierdzamy, że wśród miejscowych aż huczy z oburzenia. Przed niedawnym czasem gdzieś w puszczy piskiej doszło do gorszących zajść między miejscowymi protestantami a napływowymi — o kościół. Do tego trzeba będzie jeszcze wrócić. W „świętej" wojnie dwu wyznań po stronie katolickiej wystąpiła czynnie także nauczycielka. Dlatego, jak można przypuszczać, w zasięgu wieści, w zasięgu Piecek, Hildegarda, Edeltraut, Helmut i Horst nie kryli, zapożyczonego od starszych, wstrętu do szkoły.

Można by się nie wzruszać losem „autochtonów" i podzielić zwątpienie napływowych w sensowność „zawracania sobie głowy Mazurami", gdyby nie ciągłe szanse odegrania się za fatalne pomyłki. Jeśli się nie chce patrzeć, łatwo nie dostrzec, że poza cywilizacyjnym typem, są to „naturaliter Poloni". Nikt jednak nie jest w stanie przejść bez wstrząsu obok tuziemczej niedoli i nędzy, a to powinno naprowadzić na ważne prawo socjologiczne, że niedola i nędza to najgorsi doradcy własnych ofiar. Ich dziećmi jest niszcząca rozsądek gorycz opuszczenia, uparta przekora i skłonność do ślepych reakcji. A fizyczne i duchowe upośledzenie tuziemców rzuca się w oczy na drogach pomorsko-mazowieckich, prosi o miłosierdzie i... polityczny rozum.

— Co wy jadacie w domu — wypytujemy gromadę malców w okolicach Pisza. Dzieci mają jarzące niezdrowo oczy i woskowo żółte cery.

— Kartofle i chleb — odpowiadają zgodnie. — Ale teraz chleb „wyszedł", więc jedzą tylko kartofle.

— Czasem jabłka też — dorzuca dla ścisłości poważny malec o pogańskim imieniu Wolfgang. Imiona noszą te dzieci najokrutniej i najzłośliwiej podobierane, ale po polsku mówią niezgorzej.

— A wiecie kto był Jezus? — wyrywa się ktoś ku oburzeniu towarzystwa obecnego przy rozmowie. Okazuje się, że jest świadom jeszcze innych upośledzeń tych maluczkich, niż fizyczne głodowanie.

— Jół — odpowiada najstarsza z gromady dziewczynka, którą dzieciarnia wypycha, jako rzecznika, by popisała się wiedzą. — To je jeden taki, co o Nim gedajó w kościele — wykrztusza. Zerka przy tym po nas, czy nie zechcemy przypadkiem doświadczać naj słabszej strony jej życiowej mądrości. Nie doświadczamy. Wychowankom szkoły nienawiści nie nabijano przecież głów osobą i nauką społecznej miłości Żyda z Nazaretu. Szkoda jednak wielka, że tak zostało do dziś dnia, bo trzeba wiedzieć, że tu właśnie miała miejsce owa „święta" wojna o protestancki kościół, który w końcu przyznano katolikom.

By obraz biedy tuziemczej był względnie pełny, trzeba by dodać kilka słów uzupełnienia. Na dwadzieścioro dzieci w miejscowości podpiskiej tylko dwoje miało rodziców. Dziewięcioro jedynie matkę. Reszta ciążyła dziadkom i krewnym. Tylko siedmioro chowało się na własnym gospodarstwie. W żadnym jednak nie było ani konia ani krowy. W sześciu wypadkach zaledwie ktoś z domowników pracował w otwartym niedawno tartaku. Reszta żyła prawem „ptaków niebieskich".

— Czyi opiekunowie chcą iść za Odrę — brzmiało po tych indagacjach, najlogiczniejsze może z wszystkich, pytanie.

— Onego, onej, onego... wytykały się dzieciaki palcami. Tak doszliśmy do najpoważniejszego z zarzutów niemieckości.

— Ci ludzie są tylko ciałem z nami, duchem za Odrą — zaręczał wspomniany na innym miejscu urzędnik PUR-u w powiatowym mieście.

Cóż kiedy ciążenie za Odrę, jak i „odrzekanie' się polskości, niewiele mają wspólnego z poczuciem narodowym „autochtonów". Dla większości z nich pojęcie ojczyzna — w naszej wykładni — jest sztuczne. Dziś ojczyzna jest tam, gdzie presja przeciwnych losów jest słabsza.

Pomijam trywialne fakty obrzydzenia tuziemcom życia przez niechętnych, najczęściej bowiem na decyzji przyjęcia czy odrzucenia przynależności narodowej waży konieczność. Stosunki rodzinne i brak podstaw egzystencji u zdekompletowanych rodzin. To żadna tajemnica, szczególnie dla władz państwowych. Stąd wzięła się właśnie oficjalna tendencja, by hamować przypadkowy odpływ za Odrę z jednej strony, a z drugiej przywracać, lub nadawać w razie niemożności restytucji, nową własność tuziemcom polskiego pochodzenia. Ale co tu ukrywać, ciężar tragedii pomorsko-mazowieckich przerasta najtroskliwsze wysiłki zubożonego państwa. Owdowiałe kobiety z dziećmi, skołatani przejściami, bezradni starcy, których nie ma kto utrzymać, słowem większość miejscowego społeczeństwa „autochtonicznego" ciąży do zasobniejszych krewnych za granicą. Górnicy westfalscy, dawna emigracja zarobkowa — jak ich nazywa piosenka warmińska „ta westfolsko szlachta" — ewakuanci wojenni, którzy zaczepili się na skutek parcelacji w radzieckiej strefie okupacyjnej i dogospodarowali żywego i martwego inwentarza, siłą faktu są nadzieją tych nieszczęsnych. Stąd też tak bardzo, obok politycznych bałamuctw, stawiają na „niemieckość".

Zresztą aspektów „zaodrzańskich" da się wynaleźć tyle ile rodzajów nieszczęść wojennych. Jeden z innego gatunku odkrył mi ksiądz warmiński „autochton'. Są to ni mniej ni więcej tylko cierpienia... „szarego Parteigenossa".

Wielu z jego parafian wpadło w sidła własnej przemyślności i

Rys. Janusz Łonicki

nie może dzisiaj wracać. Partia dawała domy i ziemię, wynajdowała zajęcia chroniące od frontu, podobno niewiele w zamian żądając. Szereg „porządnych" ludzi — jak zapewniał ksiądz — aby zarobić co się da na partii, podpisało akcesy. Dziś dla nich i rodzin powstała kwestia.

Niektóre motywy budzą najżywszą litość. Z Mrągowa do Ukty jedziemy wozem, wiozącym ze szpitala starego Mazura. Najdziwniejszy to „Niemiec" ze wszystkich napotkanych. Wychudły, o ziemistej cerze i chrypliwym głosie, mówi tak nieskazitelną polszczyzną, że nie sposób zrozumieć, dlaczego uparcie nazywa siebie „Niemcem". Swe credo wykłada dość bezradnie:

— Trzeba być, panie, wiernym w nieszczęściu. Tak Bóg każe. Ja jestem stary, a to wielki grzech być niewiernym...

Zachwiałym staruszka, zagadnąwszy o rodziców. Za kogo się uważali i komu byli wierni.

— Łoni robzili po swojému — tłumaczył niejasno — łoni byli Poloki.

Gdy zszedł z wozu, nie wiadomo z osłabienia, czy zamętu myśli, zataczał się po drodze. Uderzające, że odkąd usłyszał o rodzicach, opuściła go pewność. Od niego dowiedziałem się, że w puszczy piskiej maślaka zwie się „pempkiem" i że wojska niemieckie nie zostały zwyciężone w tej wojnie. To tylko „starsi" odeszli Hitlera, gdy im „zabziół jednégo generała", po czym niezwyciężeni „nasi' poszli do domów. Tylko w ten sposób stało się możliwe, że „Ruski" jechali przez Mazury „jak na spacer".

W tropy nienazwane wplótł się w końcu i trop Smętka. Mój Boże, komuż to chciał być wierny, schorowany, stary biedak mazurski? Kanonom, wbitym w głowę od kołyski, czy własnej, szlachetnej ambicji niepuszczania przegranej sprawy.

Jeden z ojców plebiscytowego zwycięstwa, Max Worgitzki, już po fakcie, przyznał, że na szlachetne odruchy uczucia wzięto polskość pomorsko-mazowiecką także 11. 7. 1920 roku. Ad hoc spreparowana legenda o „nieszczęsnej i opuszczonej ojczyźnie niemieckiej", którą na zewnątrz opadli podstępni alianci, korzystając, iż od wewnątrz rozdarli niezwyciężone Niemcy komuniści i socjaliści, trafiła najmocniej do serc tych, którzy nigdy ojczyzny nie znali. Jasno zdawał sobie sprawę z plebiscytowego kłamstwa ów pierwszy spośród ojców zwycięstwa. W wydanej w r. 1942 powieści regionalnej nie darmo włożył w usta uświadomionego Polaka wschodnio-pruskiego zadziwiające słowa:

„Z dziką wściekłością zwrócili się przeciw nam Mazury. Zapalają się do „nieszczęśliwej niemieckiej ojczyzny" i ryczą nam na złość do uszu: „Właśnie w nieszczęściu pokażemy". Mnie nie oszukają. Nie mieliby ani kropli krwi słowiańskiej w żyłach, gdyby mogli spokojnie rozważać wśród podniecenia chwili"... (Za kilka lat) „zaczną myśleć o tym, co im dziś zaciemnia zapał walki i przemożna niemiecka propaganda, że między dwoma narodami stoją i mogą wybrać".

Niemcy nie zastanawiali się, czy „warto sobie zawracać głowę Mazurami", choć najwierniejszy z renegatów w to wątpił. Dalszymi mistyfikacjami zaciemniali głąb duszy nieszczęśliwego ludu. Gdy stawiano na ziemi mazurskiej pomnik tanenberski pod Olsztynkiem, symbol odrodzonej buty i zaborczości, pochlebiano Mazurom, że tak procentuje się ich udział w budowaniu wielkości Niemiec, bo przecież w najcięższej dla powalonej i opuszczonej „niemieckiej ojczyzny" chwili zachowali „Treue und Ehre". To zapadło w pamięć.

Lapidarną formułę dzisiejszego zagubienia ludności mazurskiej zawdzięczam obywatelowi polskiemu, ale nie-Polakowi. Autor jej to potomek ludzi bez ziemi, wygnanych przed wiekiem z Rosji sekciarzy, filiponów.

— Panie, byłem w Niemczech i napatrzyłem się na Mazurów — mówił mi ten człowiek. — Widziałem, jak źle się tam czują u obcych i jak dla Niemców są tylko „Polacken". Teraz widzę znowu, że im niedobrze z Polakami. Wie pan co... — W tym momencie wypowiedział owo ośle piające zdanie, którego słowa były jak brutalne dłonie, rozdzierające na kawały serce:

— *To są ludzie niczyi.*

„Ludzie niczyi". Wracając z objazdu Mazur zaglądam do przyjaciół mazurskich. Ze zgrozą patrzę jak podupadli na siłach ducha i ciała. Nie ma już szeregu imponujących postaci z zeszłorocznych spotkań. Znajduję innych ludzi, przytłoczonych cudzymi troskami, upadających pod brzemieniem orędownictwa za zagubionymi w życiu współziomkami. Ich domy, ich biura stały się przystaniami na trasie włóczęgi tego wspaniałego wysłańca bogatego, ale też i szlachetnego narodu. Wysoko kwalifikowany personel, drobiazgowo urządzone ambulatorium i zasobna apteka imponują w tej dobroczynności. Autokar zna każdą wieś, każde miasteczko trzech powiatów, między innymi i z tego, że każdemu bez wyjątku, kto tylko zażąda, udzieli pomocy.

Mazury głównie, mniej Warmia, leżą w zasięgu filantropijnej działalności szeregu protestanckich organizacji religijnych, szwedzkich, amerykańskich i duńskich. Wszystkie one bez najmniejszej po temu intencji wysławiają obce serce i obcą miłość do człowieka. *W zasięgu władzy państwowej robi się wiele więcej dla dobra kraju, niż można osiągnąć przez efektowne, ale krótkotrwałe wypady samarytańskie,* niemniej białe autokary, dobre zjawy w śnieżnych kitlach, różnobarwne ładowne ciężarówki z flagami, jako jedyne zdobywają wyobraźnie i wdzięczne uznanie, którego nam tak bardzo potrzeba na tym terenie. Może dlatego jacyś podejrzani przyjaciele Niemców spróbowali już szczęścia, by w plebiscycie, jaki tu trwa bez przerwy od dziesiątek lat, obcą szlachetność wygrać przeciw Polsce. Alarmowano o tym nie tak dawno w prasie. W grze jest nie byle jaki przedmiot. Jeszcze nie zdobyliśmy 120.000 dusz „autochtonicznych" u siebie w kraju, ani 250.000 — jak obliczają (wraz z emigracją westfalską) działacze tuziemczy — Mazurów i Warmiaków zza Odry. Jeszcze nie wyrwaliśmy ich z rąk odwiecznego łapacza zagubionych dusz. Możnaby sądzić, że niezawodny środek wybrali anonimowi uzurpatorzy cudzej ofiarności. Gdyby nie małe „ale". Może nie dość wcześnie, może nie dość licznie, ale *jeszcze na czas pokazały się na drogach pomorsko-mazowieckich pierwsze jaskółki polskiej społecznej akcji,* która wciąż jeszcze może zmienić wiele w układzie stosunków ludnościowych na tej ziemi. Idealizm młodości, idealizm rozumu i serca, podyktował prawdziwym, nie nadużywającym zaszczytnego imienia pionierom, nakaz przywrócenia ojczyźnie zagubionej polskości Pomorza Mazowieckiego. Oby przez przerzucone mosty, przez sprostowane drogi podążyła za nimi świadoma celu i potrzeb wielka inicjatywa społeczna i narodowa, by zabliźnić na zawsze wrzody dawnych i nowych błędów.

Stefan Sulima.

bergegangen. Ostfluechtlinge — ostische Menschen — minderwertiges Pack... wie leicht denkt sich das."

Hans Guenther Bressler pod „tysiącletnią nauką myśli ironicznie o zapowiadanym przez Hitlera „tysiącleciu Trzeciej Rzeszy", widząc przyczynę pogardy dla „wschodnich Niemców" w „zakłamanej ideologii nazistowskiej". W tysiącletnią naukę przeszłości Bressler nie sięga. Hitleryzm jest dla niego epizodem historycznym, który zatruł myśli współczesnego pokolenia. Jest to typowe pomylenie przyczyn i skutków.

My wiemy, że w narodzie niemieckim „jakże łatwo rodziły się myśli" pogardliwe dla narodów słowiańskich na długo przed Hitlerem. To, że się rodzą i dziś, kiedy Hitlera już nie ma, jest dowodem, że źródło hitleryzmu sięga dalej wstecz niż 13 lat hitleryzmu, czy 30 blisko lat od powstania partii hitlerowskiej.

My wiemy, że to co jest **antywschodnie** w nacjonaliźmie niemieckim prowadzi nieuchronnie do hitleryzmu. Jest to równia pochyła, po której stoczył się naród niemiecki i nie podniesie się z upadku moralnego dopóty, dopóki w sobie nie zniszczy odczłowieczającej chęci wywyższania się i panoszenia się nad słowiańskimi narodami.

Okres dziejów w który weszliśmy, odbiera Niemcom obiektywne warunki panoszenia się nad swymi wschodnimi sąsiadami. Pozostaje im zatem już tylko samozatruwanie się czadem zakończonego ostatecznie „Drang nach Osten".

Mogłoby być dla nas zatem obojętne, co myślą, piszą i mówią Niemcy, gdyby nie fakt, że w Europie nie ma chińskich murów dzielących narody i czad niemiecki zatruwa międzynarodowe współżycie europejskich narodów. Im

Zapamiętaj!

szybciej zatem zrozumieją Niemcy zło i bezsens swego nacjonalizmu, tym prędzej będziemy mieli pokój w Europie i świecie.

IV.

Szkic powyższy starał się wytropić istotę prawdy w ciemnych dziejach niemieckiego nacjonalizmu. Piszący te słowa jest publicystą, nie historykiem i pisze o Niemczech prace publicystyczne, a nie naukowe. Niemniej rzetelność dowodzeń obowiązuje tak samo publicystę, jak historyka. Nie chciałbym w sprawie tak ważnej jak ustalenie rodowodu hitleryzmu popełnić błędów w myśleniu, czy nieuczciwości w dowodzeniu. Stąd publiczna prośba nie naukowca do naukowców o zabranie w sprawie tej głosu. Tę samą prośbę kieruję do pisarzy i publicystów. Do stworzenia bowiem obrazu pełnego, mającego prawo i możliwość wpływania na umysły społeczeństw, potrzebna jest zawsze ścisłość naukowca, wyczucie pisarza i dociekliwość publicysty, jako że publicysta tropi tylko prawdę, pisarz ją określa, naukowiec natomiast ustala.

Chciałbym aby ten trójgłos zaznaczył się silnie w poruszanej — przypadkowo przeze mnie — sprawie. Wydaje mi się bowiem, że bez wytropienia, określenia i ścisłego ustalania rodowodu hitleryzmu, nie można skutecznie zwalczać wciąż żywego nacjonalizmu niemieckiego.

Edmund Osmańczyk.

Nacjonalistów niemieckich wiesza się. Małych — tak, dużych — inaczej

ALEKSANDER WIDERA

* * *

Posypały się confetti w osobliwy ten karnawał,
posypały się confetti z oczu słońca w czas uciechy.
Odwaliwszy kamień z grobu duch narodu zmartwychwstawał,
co za główne i niemieckie na tym świecie umarł grzechy.

Błękit nieba w krąg nastroje odzwierciedlał i poszerzał
widnokręgi, choć im głośno sprzeciwiały się ruiny;
na zielonych instrumentach wiatr złotego poloneza
grał i ludzi wiódł za ręce w zmartwychwstałej próg krainy.

Uniesienie! Upojenie! Poetyckiej barwa mowy!
Lecz pointa na negację pozłacanych słów zakrawa:
Teraz żywi, tak przeróbmy nasz charakter narodowy,
abyśmy już nigdy więcej nie musieli zmartwychwstawać!

WACŁAW MROZOWSKI

Podgórze

Ogrody śpiewają szumem,
a górą, górą wiatr
ogni dalekich tabunem
przed dworcem gra.

Pociągi-widma, gonią,
kwitną rankami jak kwiat,
na szosie białą dłonią
przysłonił oczy świat.

Sosen masztowych świętość
igłami powitań drży,
akwarel domy opięte
kwitnącym brązem rdzy.

Most kolejowy, lip śpiew
czesze kosmaty wiatr,
w południe słońca przyśpiew
i wszystko trwa.

A nocą zbłąkany księżyc
głaszcze dłonią siwiejący las,
szklane oczy w ciemność wytęża
zasłuchany w syren grzmiący bas.

Dzień się budzi dziecięcym uśmiechem
koronami chwiejących się brzoz,
wiatr szaleje i dmie jak miechem,
nad Podgórzem sztandar dymu wzniósł.

Wiersz wyjęty z mającego się wkrótce ukazać nakładem oddziału ZZLP w Jeleniej Górze tomu poezji Wacława Mrozowskiego „Pieśń o ziemi wałbrzyskiej".

Już wyszła z druku książka:

JULIUSZ KOLIPIŃSKI

GRANICA POKOJU

Cena 400,— zł

do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo Zachodnie
Poznań
ulica Chełmońskiego nr 1
58

Region kielecki

Właściwym twórcą regionalizmu kieleckiego był Stefan Żeromski, który swym wielkim talentem rozsławił w całej Polsce swoją rodzimą Puszczę Jodłową i żyzny kraj rolniczy nad Nidą. Wcześniej już „polski Kipling" (w psychologię zwierzęcią głębiej może że wnikający, dowodem czego „As" a bardziej jeszcze „Zając", gdy Kipling przedstawią tylko „przebranych" za zwierzęta ludzi), Adolf Dygasiński, kładł podstawy kieleckiego regionalizmu w utworach przeniknięty tych sentymentem dla kraju Ponidzia. Źródła regionalizmu kieleckiego były więc literackie jak zawsze prawie w podobnych wypadkach. Trzecim obok tamtych regionalistą kieleckim był znakomity krytyk literacki Zygmunt Wasilewski, mimo sędziwego wieku i prawie zupełnej utraty wzroku nie ustający w pracy[1]).

Żeromski nie idealizował zresztą tego kraju, choć czuł się organicznie związany z jego przyrodą i ludźmi. Niewola carska i długotrwałe zacofanie chłopa kieleckiego wycisnęły nie dające się długo zatrzeć piętno na wyglądzie Kielecczyzny. Z pradawnych pokładów geologicznych ziemi i historycznych przeżyć jej ludności wyrywał się przecież w górę duch pragnący światła. W ślady znakomitego pisarza poszedł inny syn ziemi kieleckiej, Stanisław Piołun-Noyszewski, biograf Żeromskiego i sam utalentowany literat. Obok niego dał się szeroko poznać czołowy pionier polskiego ruchu regionalnego, Aleksander Patkowski, dla którego głównym terenem działania był właśnie region kielecki. Ci dwaj niestety przedwcześnie zeszli z widowni jako ofiary potwornego reżimu niemieckich obozów koncentracyjnych. Ale już w dwa lata zaledwie po ukończeniu wojny ukazuje się nowa praca kontynuująca chlubne tradycje regionalizmu kieleckiego pióra dr. J. Nowak-Dłużewskiego[2]).

Autor pragnie ująć całość poruszonego przez siebie zagadnienia. Pójdźmy więc jego śladem nie tracąc jednak własnego sposobu patrzenia. Łańcuch łysogórski tworzy niejako kość pacierzową wielkiego czworoboku ujętego rzekami Pilicą i Wisłą. Później zarysowuje się ten region bliżej jako północna część Małopolski. Od krakowskiego granicą mają tu być rzeki Dłubnia i Szreniawa. Przedhistoryczne ślady człowieka sięgają paleolitu a więc epoki odleglejszej aniżeli to ma miejsce w innych częściach Polski. Wczesnohistoryczne dzieje są również dawne grupując się dokoła Wiślicy z jej bardzo starą legendą. W okresie pierwszych Piastów a zwłaszcza w okresie dzielnicowym nie było tak źle z naszym regionem — zarzuca mu się bierność — z niego bowiem wyszedł przeniknięty religijną egzaltacją pierwszy patriotyzm polski wyraz swój znajdujący w kulcie św. Stanisława ogarniającym całą Polskę wraz z ziemiami śląskimi. Z tym podniesieniem duchą wiązała się znaczna rola Sandomierszczyzny za Władysława Łokietka sięgająca nawet Gdańska i Pomorza. Później północną Małopolska dzieliła się z południową zadaniami w sprawach Litwy. A były to bądź co bądź sprawy wielkie, ogarniające swym zasięgiem całą środkową Europę. Dalej jeszcze sięgał Zbigniew Oleśnicki, człowiek regionu, którego wpływy docierały na Bałkany. W okresie tego 150-letniego przywództwa dokonało się wewnętrzne wyrównanie kulturalne z lekka tylko tu zarysowane.

W drugiej połowie XV w. nastąpiło jak gdyby wyczerpanie twórczych sił regionu. Dopiero czasy reformacji odznaczały się ponownie wielką ich bujnością. Dotyczy to tak przedstawicieli tradycyjnych wierzeń jak i „nowinkarzy". Wśród tych wytworzyły się dwa główne kolejno ogniska oświaty, tj. Pińczów kalwiński i Raków antytrynitarski. Obok tych głównych centrów było jeszcze bardzo wiele ośrodków mniejszych, rozrzuconych na całej przestrzeni regionu prócz jedynie Łysogór, których ludność „przeważająco nieszlachecka, a lud prosty zarówno po wsiach jak i po miastach... pozostał wierny Kościołowi katolickiemu". Najważniejszą zdobyczą ruchu reformacyjnego były uczelnie o wysokim poziomie naukowo-wychowawczym; wpływ tych sięgał do innych dzielnic. Wiek XVII zaznaczył się upadkiem „konstruktywnej myśli politycznej regionu", choć był to objaw ogólniejszy. W XVIII w., obok St. Dunin-Karwickiego, autora mądrych uwag o reformie ustroju Polski, wyszedł z regionu wielki reformator dusz polskich pijar Stanisław Konarski, urodzony w Żarczycach Wielkich pod Małogoszczem. W dziedzinie nauki miał on wcale licznych poprzedników z tego samego regionu wywodzących się. Z polityków na schyłku stulecia wymienimy tylko Hugona Kołłątaja z Niecisławic koło Pińczowa. Ci najwięksi rychło tracili kontakt z krajem rodzinnym. W insurekcji kościuszkowskiej wsie miechowskie i olkuskie największy wzięły udział.

W powstaniu listopadowym region kielecki był poważną zbiornicą „sił duchowych i materialnych". Powszechnie też jest znaną rola Kielecczyzny w r. 1863. Tragiczną epopeję tego powstania zamknął później w swych wizjach poetyckich Stefan Żeromski, który ją „wchłaniał w czasach dzieciństwa i w kieleckich czasach szkolnych z opowiadań rodziny, znajomych i ludu tamtejszego". Odmienną koncepcję polityczną tworzył przed powstaniem Aleksander Wielopolski z Chrobrza nad Nidą. Wreszcie idea socjalna, ciągnąca się od Kościuszki, znalazła swojego przedstawiciela w ks. Piotrze Ścieglennym z Bilczy pod Kielcami. Przemysł i górnictwo, mające swoje chlubne karty już w XVI w., czyniły postępy w XVIII i pierwszej połowie XIX w. Pomyślnie rozwinęły się szkoły kieleckie w XIX w. aż carski ucisk doprowadził do spaczenia ich kierunku, budząc tym silniejszy opór w duszach uczniów. Literatura piękna rozwijała się już w wiekach średnich reprezentowana, prócz „Żywota większego" św., Stanisława (XIII w.), wzruszającymi „Pieśniami łysogórskimi" z XV w.. W dobie nowożytnej wydała dynastię poetycką Kochanowskich z wielkim poetą renesansowym Janem na czele, Wespazjana Kochowskiego najsilniej z regionem złączonego, pochodzącego z Mazowsza ale „wmieszkanego" Jana Chryzostoma Paska, nową dynastię poetycką Morsztynów aż do pisarzów politycznych XVIII w. i poetów-pisarzów drugiej połowy XIX w. Posiadała też ziemia kielecka wybitnych mecenasów sztuki i nauki w różnych okresach. Całość wysiłku kulturalnego, jak słusznie zauważa dr. Nowak-Dłużewski, sprowadza się do człowieka tworzącego kulturę, a odmienność regionu wyraża się w odrębnej strukturze psychicznej ludności. Zestawienie z dorobkiem kulturalnym innych regionów mogło by wzbudzić zainteresowanie, ale nie można by się zadowolić w tym wypadku zestawieniem czysto mechanicznym. Odrębność historycznych warunków w poszczególnych okresach musiała by być wzięta pod uwagę.

K. TYMIENIECKI

[1]) Dla regionu kieleckiego zdobył sobie ten znakomity pisarz zasługę redagowaniem wydawanego w Warszawie „Pamiętnika Koła Kielczan".

[2]) „Udział regionu kieleckiego w kulturze narodów". Kielce 1947

Wśród czasopism

Jednym z fragmentów toczącej się u nas nieustannie dyskusji o upowszechnieniu kultury jest ostatnio spora garść naprawdę godnych uwagi wypowiedzi na temat książki dla mas i zorganizowania metod dotarcia tej książki do chłopa i robotnika.

Zacznijmy od wypowiedzi autorki bezsprzecznie dobrze i trafnie zorientowanej, Ludmiły Protschke („Głód książki?", *Odrodzenie*, nr. 8), która dysponuje wartościowym materiałem informacyjnym dostarczonym przez „czytelnikowskie" koła miłośników czytelnictwa. Autorka stwierdza na wstępie słabe działanie ustawy bibliotecznej ograniczone z jednej strony poważną zwyżką cen książek, niezorganizowaniem rynku wydawniczego i w równej mierze brakiem ludzi, którzy byliby przygotowani do prowadzenia bibliotek wiejskich, którzy umieliby torować drogę książce do szerokich mas czytelników. Uważa ona, że równocześnie z akcją organizowania bibliotek powszechnych uruchomiony być musi wielki aparat działalności organizacyjnej, pracy społeczno-kulturalnej, która nawiązywałaby kontakt pomiędzy książką a jej postulowanym odbiorcą. Chodzi bowiem o to, że już dzisiaj, przy tak niskim stopniu rozwoju bibliotekarstwa powszechnego mamy w Polsce do czynienia z zagadnieniem książki niewykorzystanej, zalegającej bezużytecznie półki szczupłych księgozbiorów, książki, po którą nikt nie przychodzi i nie sięga. Sprawa jest naprawdę istotna. Bo jeśli, jak miałem to sposobność stwierdzić osobiście, dziś na wsi przy istnieniu wymiennej bibiloteczki gromadzkej zasilanej z księgozbioru powiatowego, liczącej 50 tomów i tomików, korzysta z niej czasem trzech a czasem dziesięciu czytelników, wśród których przeważającą większość stanowi w dodatku inteligencja wiejska, to umieszczenie w takiej gromadzie w sposób mechaniczny 500 tomów nie rozwiąże zagadnienia.

Dyrektor wydawniczy spółdzielni „Wiedza" Wacław Zawadzki niesłusznie widzi (art. „Upowszechnienie książki", *Nowiny Literackie*, nr. 13-14) w tej wypowiedzi p. Protschke próbę podważenia samej zasady biblioteki powszechnej. Tu chodzi właśnie o to, czego domaga się i on sam, o doskonalenie pracy biblitekarza i biblioteki. Chodzi o to, że ustawa biblioteczna i pieniądze na zakup książek to tylko część tego zagadnienia kulturalnego, jakim jest książka dla mas. Tam bowiem, gdzie wieś posiada propagatorów książki, pilnych i pociągających za sobą innych czytelników, książką niewykorzystaną jest tylko ta, która w zestawie bibliotecznym znalazła się tylko przez pomyłkę. Słusznie natomiast uważa p. Zawadzki, że nie jest książką nie wykorzystaną dzieło np. popularno-naukowe przeczytane na wsi przez dwóch lub trzech ludzi. Taka bowiem książka spełnia swoje zadanie, jeśli choć jednemu człowiekowi otworzy drogę do rozwoju tkwiących w nim zamiłowań do dalszej nauki. P. Zawadzki główny nacisk kładzie na wielką odbudowę sieci bibliotek w Polsce. Ma to być przede wszystkim zamykająca się w granicach możliwości rekonstrukcyjnych odbudowa sieci wielkich bibliotek, które zniszczyła wojna, a obok tego organizacja jak najliczniejszej sieci jak najbogatszych bibliotek powszechnych po miastach i wsiach. Ważnym momentem jest kierownictwo biblioteki, które autor zaleca powierzać zasadniczo nauczycielowi. Argumenty, które zalecenie to uzasadniają, są bezsporne, ale niestety strona materialna tej propozycji jest trochę niepoważna. P. Zawadzki uważa, że kwota 3.000 zł. wynagrodzenia miesięcznego nie jest „zbyt wygórowana". Nie, nie jest wygórowana. Jest po prostu śmieszna i z góry skazuje całą akcję na niepowodzenie. Kto może dziś za takie wynagrodzenie pracować nawet dodatkowo tym bardziej przy takim uposażeniu, jakie posiada nauczyciel, który musi uganiać się za kursami dokształcającymi, zarobkami w innych szkołach, wszelakimi zajęciami dodatkowymi, by przy dziesięciu a czasem i więcej godzinach pracy dziennie „wyciągną" 10 do 15 tysięcy złotych miesięcznie, dających mu minimum skromnej egzystencji? Jeśli nauczyciel ma być naprawdę bibliotekarzem, musi otrzymać przynajmniej drugie tyle, co wynosi jego skromna pensja. Inaczej nie można od niego niczego wymagać prócz opędzania roboty byle jak. (Pisze o tym bardzo słusznie m. in. Franciszek Strojowski w nr-e 2 *Twórczości*).

Bardzo interesującą i godną uwagi propozycją p. Wacława Zawadzkiego jest projekt wspólnego zorganizowania przez trzy wielkie spółdzielnie wydawnicze biblioteki taniej książki, która mogłaby przynieść realizację hasła wychowania prywatnego konsumenta kupującego książki własnym sumptem. Czekamy na dalsze losy tego projektu. Bo przecież „Biblioteka powieści i romansów" walczy tylko ze złą literaturą typu zeszytowego, a nie przywiązuje bynajmniej swego czytelnika do książki, nie rozbudza w nim zamiłowania do posiadania książki na własność.

We wspomnianym już artykule w *Twórczości* p. Strojowski prócz kwestii wynagrodzeń nauczycielstwa za pracę bibliotekarską, prócz wielu spostrzeżeń banalnych i znanych na temat stosunku chłopa do książki (tytuł artykułu „Droga słowa drukowanego na wieś"), nie bez racji pisze o dezorganizacji roboty oświatowo-kulturalnej w terenie i nadmiarze pracowników oświatowo - kulturalnych „fungujących" przy różnych władzach, instytucjach i związkach, i działających w rozstrzeleniu. Domaga się więc większego i bardziej planowego scentralizowania tej dziedziny pracy, co przyniesie lepsze wyniki a da przy tym redukcję wielu zbędnych jego zdaniem etatów „oświatowców", którzy nic nie robią a których uposażenia możnaby obrócić na wynagrodzenie nauczycieli za robotę bibliotekarską i kulturalną w ogóle.

W innym ujęciu sprawy książki znajdujemy w obszernym i podstawowym artykule Anieli Mikuckiej „Czytelnictwo masowe" (*Twórczość* nr. 3). Jest to najpełniejsza wypowiedź na interesujący nas tu temat i godna poznania przez bibliotekarzy, działaczy oświatowo-kulturalnych, wydawców, no i pisarzy oraz krytyków. Jest tu bowiem omówiona rola każdego z tych ludzi w ramach działalności zmierzającej do prawdziwego upowszechnienia książki. Uwagi p. Mikuckiej cechuje doskonałe zorientowanie w temacie, podejście dobrze ugruntowane teoretycznie i wysoce realne zarazem w wysuwaniu wskazówek praktycznych, tak realne, że niektóre sądy, te zwłaszcza, które zmierzają do wprowadzenia podziału na książki szkodliwe, złe, bezwartościowe i przeciętne, wydaje się aż nazbyt liberalne. P. Mikucka szeroko omawia zagadnienie tzw. średniej literatury, która ma być środkiem od zdobycia masowego czytelnika i przygotowania go do przyjęcia wielkiej literatury. Jest to zagadnienie pasjonujące, które stało się ostatnio tematem wypowiedzi Jerzego Borejszy w felietonie „Dubeltowe dusze" (*Odrodzenie* nr. 10), oraz ciekawej polemiki z nim Edwarda Csato (*Nowiny Literackie* nr. 13-14). Sprawa ta wiąże się najściślej z upowszechnieniem czytelnictwa, czego niedwuznacznym przykładem jest wielka popularność Rodziewiczówny. Ale tendencje do kultywowania tego typu pisarstwa są zdaje się błędne. Pisarze średniej klasy rodzą się sami wbrew własnej woli w środowiskich narodowych, gdzie mamy do czynienia ze zjawiskiem ugruntowania się wysokiego poziomu rzemiosła pisarskiego i kultury literackiej. Bo pierwsza i podstawowa różnica pomiędzy pisarzem pierwszej i drugiej klasy leży w niewymierzalnej rozpiętości, jaką jest rozpiętość talentu. (ki)

Ocalenie Jakuba czyli klęska Krzysztofa

Wystawienie „Ocalenia Jakuba" Jerzego Zawieyskiego przez Państwowy Teatr Dolnośląski wywołało małą lokalną burzę. Recenzje oscylowały między największymi pochwałami, a ciężkimi zarzutami. Odbywały się publiczne dyskusje. Wytaczano argumenty. Między in. oskarżono sztukę o tendencje aspołeczne, a teatr o wprowadzenie do repertuaru pozycji destruktywnych i groźnych dla obecnej rzeczywistości.

O cóż poszło? Co napełniło jednych zachwytem, a drugich oburzeniem? Aby zrozumieć powody „konfliktu widowni" musimy pokrótce zaznajomić się z treścią sztuki:

Do domu, żony i córki powraca po kilkuletnim pobycie w obozie koncentracyjnym i długiej tułaczce po zagranicy — Jakub.

Żona Jakuba Joanna szukając męża w szpitalach obozowych, spotkała w jednym z nich ochłap człowieka, wymęczonego torturami i bunkrem — Krzysztofa. Z litości do nieszczęśliwego zrodziła się miłość i Jakub zastaje swoje miejsce przy Joannie zajęte przez Krzysztofa, z którym, jak okazuje się, łączyły go tragiczne przejścia obozowe. Otóż Jakub, szaleńczo odważny na wolności, komendant organizacji podziemnej, postrach Niemców — w obozie załamał się, stał się pospolitym tchórzem, przedmiotem pogardy współtowarzyszy. Odwrotnie Krzysztof — słaby i tchórzliwy na wolności, unikający niebezpieczeństw i stroniący od wszelkiej pracy konspiracyjnej, w obozie wykazał ogromny hart ducha — niósł pomoc współwięźniom, podtrzymywał ich swą wspaniałą postawą moralną.

Pewnego razu Krzysztof ukrył na bloku jednego z kolegów skazanych na komorę gazową. Sprawa się wydała. Posądzono Jakuba. Torturowany w czasie śledztwa przez gestapo, Jakub „wsypał" Krzysztofa.

Krzysztofa skatowano i osadzono w bunkrze, skąd go uratowało wejście Amerykan.

Jakub dręczony wyrzutami sumienia starał się uzyskać przebaczenie Krzysztofa — zetknąwszy się z nim w obozie pada na kolana, ale Krzysztof go odtrąca. Po wyzwoleniu Jakub nie wraca do domu, ale po całej Europie szuka Krzysztofa, aby błagać go o przebaczenie — przebaczenie, które wróci mu człowieczeństwo.

Po spotkaniu się Jakuba z Krzysztofem w domu, ponad konflikt trójkątu małżeńskiego wyrasta nagle problem „ocalenia" Jakuba przed sobą samym. Krzysztof nie tylko nie chce podać ręki Jakubowi, ale jeszcze stara się zabrać mu Joannę.

Lecz u Joanny dawne przywiązanie, a przede wszystkim litość nad zdruzgotanym Jakubem, przeważają nad nową miłością i Joanna postanawia zostać przy mężu, aby go ratować, dopomóc mu w podźwignięciu się z upadku.

Krzysztof pokonany rozmiarami uczucia Joanny, wyciąga rękę do Jakuba, — Jakub zostaje ocalony przez Joannę i Krzysztofa, a właściwie przez własną skruchę i żal za popełniony czyn.

Zawieyskiemu nie wystarczyły jednak ogólnoludzkie i katolickie idee darowania krzywdy przez Krzysztofa, ratowania upadłego przez Joannę i ocalenia moralnego przez wewnętrzne oczyszczenie Jakuba i do dość już zawiłej psychologicznie, najeżonej kompleksami sztuki dodał sporą dawkę mistycyzmu. Oto córka Jakuba, Monika po zaaresztowaniu ojca i w czasie jego pobytu w obozie, ma sny, a raczej widzenia, w których widzi biblijną drabinę i na niej Krzysztofa ocalającego Jakuba (tak jak

„Ocalenie Jakuba" Jerzego Zawieyskiego w Państw. Teatrze Dolnośl. we Wrocławiu. Jakub (M. Skowiński), Joanna (J. Martynowska). Reżyseria M. A. Jabłonkówna

to uczynili aniołowie w śnie Jakubowym). Mimo pewnej, bardzo odległej analogii między Jakubem i Krzysztofem, a biblijnym Jakubem i Ezawem, „drabina" wydaje się niedwuznacznie „dostawiona" do wątku sztuki, szczególnie, że rozwiązanie jej symboliki przez Monikę (po wielu długich cierpieniech) nie wpływa zupełnie na decyzję nikogo z biorących udział w dramacie.

Otóż sposób ocalenia Jakuba przez oczyszczenie się w wyrzutach sumienia, litość Joanny i przebaczenia Krzysztofa, spotkał się z burzliwym protestem. Zadawano pytanie, czy wystarcza tego rodzaju zadośćuczynienie za zdradę i wydanie Niemcom współtowarzysza, za niegodne zachowanie się w obozie. Czy jednostka, choćby to był sam pokrzywdzony, ma prawo uniewinnić przestępcę. Czy rozważać winę Jakuba nie powinien prokurator, a zadośćuczynienie dać jedynie kara wymierzona przez sąd. Czy etyczne jest rozgrzeszenie Jakuba i w dodatku nagrodzenie go Joanną (przechodzącą n. b. z rąk do rąk, jak „puchar przechodni" dla zwycięscy w tym pojedynku „ocalenia").

Czy ocalenie upodlonego upadkiem Jakuba nie jest raczej klęską szlachetnego i skrzywdzonego Krzysztofa? Obawiam się, że w ten sposób rozwiązany konflikt wprowadzi zamęt w umyśle widzów w okresie rozgrywających się procesów przestępców obozowych, tym niebezpieczniejszego, że sztuka działa nadzwyczaj sugestywnie, mimo zamglenia zasłoną mistyki. Aby odpowiedzieć na te pytania, należy przede wszystkim ustalić winę Jakuba.

Jakub nie zadenuncjował Krzysztofa. Powiedział jego imię w czasie śledztwa, torturowany przez gestapo, kiedy umysł nie był już kontrolowany rozumem, a raczej instynktem samozachowawczym. Można czuć do niego pogardę jako do człowieka słabego, ale nie można go winić, ani potępiać. Śledząc rozgrywające się obecnie procesy, należy wątpić czy prokurator wniósłby przeciw niemu oskarżenie. A teraz przypatrzmy się „szlachetnemu" Krzysztofowi. Czy nie powinien jako „świetlana" postać w obozie sam przyznać się do winy ukrycia towarzysza i nie pozwolić na torturowanie niewinnego?

Czy nie powinien później przebaczyć błagającemu o przebaczenie Jakubowi? Czy aby zabrać Joannę nie szantażuje Jakuba po jego powrocie do domu, nie chcąc mu podać pomocnej ręki?

Przeobrażenia charakterów ludzkich w warunkach obozowych były na porządku dziennym, ale w tym wypadku jak widzimy, wartości moralne obu bohaterów nie są przedstawione bezspornie z niezachwianą logiką, a poza tym Jakub szukający po wszystkich okropnościach obozowych, rozgrzeszenia dla swego czynu u Krzysztofa, wydaje się nam jednostką, jeżeli nie patologiczną, to w każdym razie obarczoną sporym bagażem kompleksów. Wyzwalanie tych kompleksów u wszystkich postaci dramatu, stwarza wrażenie dziwnego konglomeratu egzystencjonalizmu z mistycyzmem. W każdym razie sztuka jest dość odległa od prawdy na to, żeby być niegroźna dla zdrowo myślącego widza, nawet w wypadku, gdyby podawała rozwiązanie niezgodne z przyjętą ogólnie racją.

Ogromną zaletą „Ocalenia Jakuba" jest *piękna, prawie klasyczna budowa dramatu*, interesujące prowadzenie konfliktu i ciekawe, (zwłaszcza w I-szym i do połowy II aktu), doskonale rozwinięte dialogi. Tym samym sztuka jest niezmiernie cennym nabytkiem naszego powojennego teatru, cierpiącego ciągle jeszcze na brak wartościowego materiału dramatycznego.

Inteligentna realizacja M. L. Jabłonkówny wydobyła z spektaklu wrocławskiego niepokojący nastrój skomplikowanego dramatu, rozgrywającego się w otoczeniu pełnym jasnych barw i prostoty. Wrażenie pogłębiały proste i słoneczne dekoracje Jędrzejewskiego i Langego, w których trudne do rozszyfrowania symbole (sznur, kładka, przewrócone schody) na szczęście umieszczone były dość dyskretnie w górnej części wnętrza i nie mąciły obrazu scenicznego.

Jakub w interpretacji M. Serwińskiego był szarym, sponiewieranym — obozem i przeżyciami wewnętrznymi, budzącym głęboką litość człowiekiem, w którym jedynie pewne drobne odruchy, czy spojrzenia pozwoliły podejrzewać byłego dowódcę organizacji podziemnej, zwanego „Błyskawicą".

Pełna umiaru Janina Martynowska włożyła w postać Joanny dużo ciepła i kobiecości, bardzo ciekawa zwłaszcza w chwilach rozterki. Zdzisław Karczewski postawę niezłomnego Krzysztofa zachował przez całą sztukę, nie zmiękczając postaci nawet w chwilach miłosnych dialogów z Joanną. Taki Krzysztof nie mógł ugiąć się, mógł jedynie przegrać. Z tego powodu można się spierać o słuszność tej „spiżowej" koncepcji roli Krzysztofa, — musi się jednak przyznać Karczewskiemu niezwykłą konsekwencję w prowadzeniu postaci.

Metapsychiczno-pensjonarska rola Moniki przerastała możliwości techniczne młodziutkiej Anny Redlichówny. Lucyna Burzyńska nie rozpraszała swymi „interludiami" ciężkiego nastroju sztuki. Zamiast tryskać młodością i temperamentem była zabawną „małą filozofką". Także potraktowanie roli Reginy przez wykonawczynię i reżyserkę osnuło sztukę jednobarwną zasłoną uczuciową o równym napięciu dynamicznym bez jakichkolwiek jaśniejszych przebłysków.

Wojciech Dzieduszycki

Święto Polactwa

sprzed lat dziesięciu

Przed dziesięciu laty, 6 marca 1938, Polactwo w Niemczech odbyło swój Kongres Polaków. Obrady, prowadzone w Berlinie, były próbą policzenia sił i nakreślenia programu na przyszłość. Wielkie ilości delegatów, obecnych na Kongresie, zdobyły świadomość własnej siły. Była to ostatnia wielka manifestacja Polactwa na terenie byłej Rzeszy niemieckiej. Dziś po wojnie, gdy wspominamy chwile kongresowe, większość Polaków z granic b. Rzeszy znajduje się już w ramach naszej wspólnej ojczyzny. Nie wrócili jeszcze do kraju bracia westfalscy. Wszystkie nasze wysiłki jednak są skierowane ku sprawom powrotu Westfalaków do kraju. Ich powrót będzie najgodniejszym uczczeniem dziesiątej rocznicy Kongresu Polaków w Niemczech.

Z wystawy plastyków szczecińskich

Dnia 15 lutego otwarta została w Państwowym Muzeum Wojewódzkim w Szczecinie czwarta z kolei wystawa prac plastyków szczecińskich. Plastycy tworzą w Szczecinie bardzo żywy ośrodek artystyczny, skupiający około 30 ludzi, zgrupowanych w Związku Zawodowym. Pracują w ciężkich warunkach, bez dostatecznej opieki ze strony tak zwanych „czynników oficjalnych". A przecież zorganizowali już cztery wystawy, uruchomili Państwowy Ośrodek Kultury Plastycznej, przygotowują wraz z dziennikarzami i Klubem Literackim tak zwaną

Henryk Boehlke: Akt

„confraternię artystyczną", rodzaj klubu dyskusyjnego przy kawiarni artystycznej, w której spotykać by się mogli wszyscy artyści i działacze kulturalni Szczecina i gdzie mogłaby być otwarta stała wystawa.

W obecnej wystawie bierze udział tylko 18 członków związku, wystawiając 125 prac. Dlaczego tylko 18? Sprawa jest skomplikowana nieco i drażliwa. Związkowi chodziło o pokazanie najlepszych prac. Powołano więc Komisję Artystyczną, która przeprowadziła dużą selekcję wśród nadesłanych prac. Rezultatem było wyeliminowanie prawie połowy plastyków z wystawy oraz urządzenie odrębnej wystawy przez dwóch, niezadowolonych z orzeczenia Komisji, plastyków. Wydaje mi się, że stanowisko zarządu, przeprowadzające tak ścisłą selekcję nie jest słuszne. Należy raczej ułatwić i zachęcić, a nie utrudnić słabszym kolegom wystawienie swych prac. Po co bowiem należą do związku? Jeżeli ich prace były słabe, nie należało ludzi tych przyjmować do związku. Inaczej działalność ich i przynależność organizacji plastyków jest fikcją. Jeszcze bardziej drażliwą sprawą było to, że w Komisji zasiadało zbyt wielu tzw. plastyków — nowatorów, dla których kanonem jest malarstwo „czyste", w którym, jakby to określił Feliks Topolski, „pole sztuki wizualnej rozciąga się tylko tak daleko, jak oko sięgnąć może, a wzruszenie, nastroje ekspresywne, refleksje intelektualne, stanowią grunt obcy, którego przekroczenie granic jest rzeczą karalną".

Gdyby przynajmniej ta grupa „nowatorów" szczecińskich była rzeczywiście nową, byłoby to zjawisko nawet pożądane. Niestety, w ich nowatorstwie, przede wszystkim u p. Tomaszewskiego i Niewiśiewicza spotykamy pojęcia estetyczne... sprzed ćwierćwiecza, jakieś często żałosne szczątki formalizmu, awangardyzmu i spóźnionej deformacji Picassowskiej. Rozumiem dobrze ambitny wysiłek tych artystów, którzy nie chcą obniżać poziomu artystycznego w imię łatwej „pocztówkowości" i naturalistycznych oleodruków, jednakże nie można wpadać w drugą skrajność, doprowadzającą do nieczytelności obrazu. Taka skrajność doprowadza w społeczeństwie szczecińskim tak mało jeszcze wyrobionym artystycznie, do lekceważenia rzeczywiście wartościowych wysiłków tych plastyków, którzy jak Kononowicz, Podsadecki czy Messer dają wysoki, nowoczesny poziom sztuki. Co więcej takie, często bardzo nieprzemyślane nowatorstwo sprawia, że niezasłużonym powodzeniem cieszą się prace bardzo mierne, ale narzucające się w dostępnych, fotograficzno-oleodrukowych formach. A przecież chyba o to nie chodziło inicjatorom wystawy. Te zastrzeżenia nie umniejszają jednak wartości samej wystawy. Dała nam ona możność zorientowania się w możliwościach i osiągnięciach plastyków szczecińskich, a jednocześnie pokazała kilka nieprzeciętnych profilów artystycznych. Do takich należy przede wszystkim Powicki (ciekawe akwarele, szczególnie „Zagroda"), Kononowicz Zenon (morskie motywy), Kononowicz Romuald (dobre pejzaże), Podsadecki (martwa natura), Reck (rysunki tuszem). Słabo reprezentowane były rzeźba i grafika.

Dzięki dobrej organizacji wystawę zwiedziło dużo osób, między innymi publiczność z zakładów pracy i młodzież szkolna. Kilka prelekcji oraz poranek dyskusyjny na temat samej wystawy przyczyniły się do spopularyzowania zarówno wystawionych prac, jak i wielu problemów z zakresu plastyki. Wystawę „niezależnych" zorganizowało w innym lokalu dwóch plastyków: Arkad. Kondratski i Tad. Nartowski. Wystawa ta była do pewnego stopnia demonstracją przeciw opinii Komisji Artystycznej, która zbyt ry-

Arkadiusz Kondratski: Żubr (drzeworyt)

gorystycznie potraktowała prace p. Kondratskiego. Wymienieni plastycy wyszli jednak dobrze na tej odrębnej wystawie, gdyż dwie ich prace (czy też nie demonstracyjnie?) zakupiło prezydium Woj. Rady Narodowej. Artyści ci reprezentują malarstwo tematyczne, bardzo nieraz uproszczone, szczególnie u p. Nartowskiego. Lepszy i ciekawszy jest p. Kondratski zarówno ujęciem kompozycyjnym, jak i kolorystycznym.

Obie wystawy wykazały dużą żywotność plastyków szczecińskich. Są oni, poza nieliczną grupą literatów, może najaktywniejszym i najlepiej zorganizowanym ośrodkiem artystycznym Szczecina. Ich uporczywa i już kilkuletnia praca na terenie Szczecina zasługuje na większe niż dotychczas zainteresowanie i uznanie społeczeństwa szczecińskiego.

Stanisław Telega

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 30036

Krótkie spięcia

Taki sobie drobiażdżek

Sprawa dykcji i wymowy w życiu codziennym jest tematem dosyć osobliwym, niemniej jednak godnym poruszenia. Atoli (za przeproszeniem) nie chodzi tu o to, czy kolega Dzendzelkiewicz w rozmowie z kolegą Kwiczołem ma stale tzw. kluski w gębie i używa co drugie słowo „proszę pana", albo czy koleżanka Siupska mówiąc przez telefon do koleżanki Bzdyczanki połyka z każdego wyrazu jego końcówkę, tak że wreszcie najadłszy się tych końcówek do niemożliwości, o mało przez nie nie pęknie — bo to, wiadomo, są sprawy prywatne.

Natomiast chodzi nam o dworzec. O normalny, zwyczajny dworzec kolejowy. Na takim bowiem normalnym, zwyczajnym dworcu kolejowym są zainstalowane głośniki. A przez te głośniki ktoś zapowiada, że przyjedzie taki a taki pociąg, że odjedzie inny, a że jeszcze inny i a spóźnienie tyle a tyle minut.

I tak jakoś się dziwnie składa, że przeważnie przez te głośniki przemawiają do ludzi właśnie albo kolega Dzendzelkiewicz albo koleżanka Siupska. To znaczy, że ludzie się dowiadują, iż kolega Dzendzelkiewicz ma kluski w gębie, a koleżanka Siupska ze stałego połykania końcówek musi chyba niedługo z całą pewnością trzasnąć.

A biedni ludzie słuchając tego wszystkiego zastanawiają się z początku, „czy instrument niestrojny czy się muzyk myli", ale w końcu dochodzą do wniosku, że to jednak nie instrument, tylko muzyk. Muzyk po prostu nie umie mówić.

Ale to jeszcze nic. Gorzej jest mianowicie, gdy kolega Dzendzelkiewicz albo koleżanka Siupska mówią, jak to na przykład ma miejsce na dworcu w Katowicach, w taki uroczy sposób:

„Począg osobowyyyy do Oszwięczimia odchodźi o szedemnastej czterdżeszczi pięcz z peronuuu drugiegooo..."

Oczywiście ten kolega Dzendzelkiewicz czy ta koleżanka Siupska, którzy posiadają taką przedziwną wymowę, przypominającą wymowę cudzoziemca, uczącego się dopiero po polsku — mogą być skądinąd świetnymi pracownikami P. K. P. Mogą wspaniale układać i kalkulować taryfy, sprzedawać bilety, kierować ruchem osobowym i towarowym, a nawet zostać kiedyś wielkimi figurami — w żadnym jednak wypadku nie mogą przemawiać przez głośnik. Bo publiczność ten ich głos drażni, irytuje, a nawet doprowadza do lekkiego szału. Wiarogodni świadkowie obserwowali już, jak ludzie na odezwanie się owych „speakerów" zaczynali nerwowo rozglądać się na wszystkie strony, a potem biegać i kręcić się w kółko. A czynili to starzy i doświadczeni podróżnicy kolejowi, przyzwyczajeni już do niejednego...!

O co chodzi?

Sprawa jest prosta i jasna:

Z głośnikami kolejowymi jest tak jak z radiem. Głos, który z nich się rozchodzi musi być dźwięczny, musi być odpowiedni do wysłuchania, aczkolwiek podaje on tylko do wiadomości publicznej suche techniczne szczegóły bez żadnych artystycznych wstawek. Rzecz prosta nikt nie wymaga tu jakichś tam cudów speakerowskich, ale w każdym razie można i należy żądać od kolegi Dzendzelkiewicza czy od koleżanki Siupskiej, by używali zwyczajnej polskiej potocznej wymowy i żeby nie mieli klusek w gębie ani trudnili się zjadaniem końcówek czy przedrostków.

Lepiej już niech zjadają bułkę z masłem.

Ale naturalnie, broń Boże, nie w czasie swej, jakby nie było, ważnej audycji głośnikowej!

NIEJAKI X.

NOWOŚĆ!

STEFAN KISIELEWSKI
(Kisiel)

„Zbrodnia w Dzielnicy Północnej"

powieść

stron 216 zł 480,—

Księgarnia
ZDZISŁAW GUSTOWSKI
Poznań, ul. Wielka 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach. 57